NR 35 (1856) 27 SIERPNIA 2024

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Proj. Zygmunt Zaradkiewicz

Solidarność ZNACZY WOLNOŚĆ. Wtedy i teraz

- Z PASA RDZY NA SAM SZCZYT
- REPORTAŻ ZE SPALONEJ FABRYKI

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 8,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

DOLNY ŚLĄSK
GŁÓWNY PARTNER

XXXIII FORUM EKONOMICZNE

KARPACZ 3-5 WRZEŚNIA 2024

Czas nowych liderów:
razem kształtując przyszłość

DOŁĄCZ DO NAS

forum-ekonomiczne.pl

eprasa.pl 9fefc58b7b

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

31 sierpnia to dzień ważny nie tylko dla Solidarności, to święto wszystkich Polaków, podczas którego celebrujemy zwycięstwo. Dzień Solidarności i Wolności skupia w sobie wspomnienie całej drogi, która rozpoczęła się 14 sierpnia – pierwszego dnia strajku w Stoczni Gdańskiej – wiodła poprzez podpisanie Porozumień Sierpniowych aż do rejestracji Związku. Ale przede wszystkim to symboliczne upamiętnienie długiej drogi Polaków do zwycięstwa nad totalitarnym reżimem.

Solidarność, bo to wokół niej skupiły się marzenia i nadzieje na wolną Polskę, także radośnie świętuje ten dzień, organizując różne wydarzenia, które pozwolą zachować w pamięci przyszłych pokoleń powstanie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego w zniewolonej komunistyczną dyktaturą naszej ojczyźnie.

Europejskie Centrum Solidarności poszło jednak o krok dalej. Nie widzi nic złego w organizowaniu potańcówki przed bramą nr 2, przed którą w 1970 roku władza strzelała do robotników, tuż obok pomnika poległych stoczniowców. Oczywiście, to nie jest zabronione. Ludzie, którzy brali udział w wydarzeniach sprzed czterdziestu czterech i pięćdziesięciu czterech lat są tym faktem jednak co najmniej zniesmaczeni. Odbierają kontrowersyjne punkty programu obchodów organizowanych przez ECS jako brak szacunku do ofiary, jaką ponieśli w 1970 roku stoczniowcy.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**

To, jak ECS, władze Gdańska i całe środowisko liberalne skupione wokół nich podchodzą do tegorocznych obchodów podpisania Porozumień Sierpniowych, jest najlepszym świadectwem ich stosunku do Solidarności w ogóle. Dla nich to tylko symbole. Logo, które można modyfikować w dowolny sposób, wielki długopis Lecha Wałęsy, plakat z Garym Cooperem. Jednym słowem – cepelia. Działają więc według zasady wygłoszonej niegdyś przez autorytet obozu liberalnego: „Róbta, co chceta". Tu nie chodzi o upamiętnienie. Chodzi głównie o rozrywkę.

Dla członków Związku słowo „solidarność" to nie jest mit i historia. To rzeczywistość, w której funkcjonują od dziesięcioleci, to wartości, którym starają się być wierni, i konkretne zadania do wykonania.

Tymczasem nieprzerwanie od 1980 roku na straży Postulatów Sierpniowych stoi NSZZ „Solidarność". To Związek doprowadził do wprowadzenia w życie wielu rozwiązań, które realnie wpłynęły na sytuację pracowników w Polsce. To on wciela w życie idee, o które walczono 44 lata temu w Gdańsku i w całym kraju. Dla jego członków słowo „solidarność" to nie jest mit i historia. To rzeczywistość, w której funkcjonują od dziesięcioleci, to wartości, którym chcą być wierni, i konkretne zadania do wykonania. Postulaty, które starają się realizować mimo różnych – czasem niesprzyjających – uwarunkowań politycznych i gospodarczych.

Postulaty, które pomimo upływu lat pozostają nadal aktualne. To związkowcy każdego dnia toczą walkę o to, by nie zaprzepaścić tego, co udało się osiągnąć przez te wszystkie lata. „W kraju, w którym tyle rządów określano jako «postsolidarnościowe», Postulaty Sierpnia wciąż nie mogą stać się jedynie wspomnieniem" – pisze Krzysztof Karnkowski na łamach najnowszego wydania „TS". A jak mówi Andrzej Gwiazda w wywiadzie z Agnieszką Żurek – napięcia polityczne bywają w dzisiejszej Polsce większe niż za komuny.

Dzisiejszej Polsce bardziej od wymyślnych rytuałów i potańcówek pod hasłem Solidarności potrzebny jest fundament. Potrzebna jest siła, która nie ugnie się pod presją pracodawców i rządu. Jest nią niezmiennie NSZZ „Solidarność".

eprasa.pl 9fefc58b7b

27.08.2024
WYDANIE Nr
35

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

44. rocznica Porozumień Sierpniowych

8	Postulaty Sierpnia pozostają w mocy
12	„Koledzy, na nas padło”. Wywiad z A. Gwiazdą
16	Kto daje i odbiera...
20	„Ludziom nie zabrakło odwagi”. Rozmowa z A. Kołodziejem
24	Rycerz w spódnicy
28	„Biała pod treflami”

KRAJ

Lewicy polskiej rachunek sumienia. Wywiad z dr. B. Rydlińskim 30
Ludzie, którzy z nami pracują 34

ZAGRANICA

Na styku płyt jak na beczce prochu 40
J.D. Vance: Z pasa rdzy na sam szczyt 44

ŚWIAT WEDŁUG CHODAKIEWICZA 48

KULTURA

Nie chcę być w głównym nurcie. Wywiad z Torią 50
Baśń o szesnastoletnim kapitanie. Recenzja filmu „Ja, kapitan” 54

ŚWIAT WOKÓŁ NAS

Festiwal niebiańskich zjawisk 60

ZWIĄZEK

Co w związku 64

FELIETONY:

WOŚ 7
OKRASKA 19
GAC 43
PŁUŻAŃSKI 59

POLECAMY:

Świat według Wróbla 27
Kawał historii 37
Karuzela z blogerami 47
Co nam mówi dziś ks. Jerzy? 58
Z archiwum Tomasza Gutrego 63
Prawo 66
Sport 68

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa

E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com

Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz:
Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Cezary Krysztopa, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy:
Andrzej Berezowski, Łukasz Bobruk, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Ewa Górska, Krzysztof Karnkowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Jan Muś, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Reńca, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Stanisław Żaryn

Łamanie:
Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto:
Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika:
Barbara Sadowska, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl:
Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Monika Rutke, Joanna Sadowska, Adrian Siwek, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
tel. 510 075 689, e-mail:
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: TYSOL Sp. z o.o.
ul. Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk
nr konta: Mbank
58 1140 1065 0000 2038 9400 1001

Księgowość: tel. 58 308 42 69

eprasa.pl 9fefc58b7b

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu” i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie”

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
1	2	3	4	5

eprasa.pl 9fefc58b7b

PODPISZ WNIOSEK

O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU

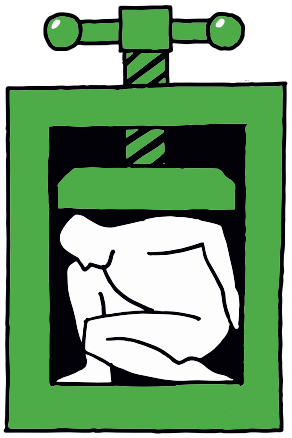

ZATRZYMAJ
ZIELONY ŁAD

PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

www.preczzzielonymladem.pl

NSZZ Solidarność

NSZZ RI Solidarność

eprasa.pl 9fefc58b7b

Rafał Woś

Co by było, gdyby...

W czasie prac nad scenariuszem do filmu „Gierek” trafiłem na relację jednego z najbliższych współpracowników ówczesnego przywódcy PRL. Mówił on otwartym tekstem, że pod koniec sierpnia „pierwszy” bardzo chciał osobiście pojawić się w Stoczni Gdańskiej i bez pośredników („po swojemu”, jak to określił) dogadać się z Solidarnością. Nie zrobił tego, bo mu na to nie pozwolono. Na przełomie sierpnia i września 1980 roku, gdy oczy całej Polski zwrócone były na Wybrzeże, w warszawskich gabinetach KC PZPR w Alejach Jerozolimskich finalizował się wewnątrzpartyjny pucz mający na celu wysadzenie Edwarda Gierka z siodła. Główną rolę odegrali w nim kopiący pod swoim szefem dołki przynajmniej od 1976 roku Stanisław Kania i Wojciech Jaruzelski. Pierwszy z nich miał pod sobą aparat bezpieczeństwa PRL i partyjną administrację. Ten drugi kontrolował armię. Gierek do końca liczył, że ocali go osobista popularność i autorytet. Przeliczył się. 5 września trafił z objawami zawału do kliniki w Aninie. Faktycznie już kilka dni wcześniej został przez puczystów pozbawiony władzy. Do Stoczni – jak wiemy – nigdy nie pojechał.

Nie wiem, ile prawdy jest w informacji o zamiarze dogadania się Gierka z Solidarnością. Traktuję ją – co najwyżej – jako ciekawy przyczynek do rozważań, co by było, gdyby. Generalnie uważam historyczne „scenariusze alternatywne” za zajęcie ciekawe, pouczające, a nieraz nawet pozwalające spojrzeć na dobrze znane sprawy z nieoczekiwanego punktu widzenia. W wypadku sierpnia 1980 roku można na tej podstawie wyobrazić sobie inny rozwój wypadków. Bo pomyślcie sami... Gdyby nie doszło do puczu Kani i Jaruzelskiego, to Gierek mógłby do Stoczni pojechać. Tam mógłby wejść z Solidarnością w autentyczny polityczny dialog, a nie udawaną rozmowę, na którą poszli Kania i Jaruzelski i która została brutalnie zerwana 13 grudnia 1981 roku. Dialog „po Gierkowemu” mógłby zakończyć się porozumieniem przypominającym (bardziej swą polityczną wagą niż konkretnymi rozwiązaniami) ugodę „polsko-polską” z 1989 roku. To znaczy przełamaniem monopolu politycznego komunistów oraz liberalizacją życia publicznego. Ale znów – znając dorobek Polski Gierkowskiej i Jaruzelskiej, można chyba zakładać, że ta pierwsza wersja byłaby dla Solidarności jednak lepsza. Na dodatek w naszym hipotetycznym scenariuszu stałoby się to dekadę wcześniej, niż stało się w rzeczywistości. Co oznacza, że oszczędzono by nam wielkiej smuty stanu wojennego, zbrodni esbecji z lat 1981–1989 i niewinnie rozlanej krwi robotniczej. Może nawet ksiądz Jerzy Popiełuszko dobiegałby dziś w dobrym zdrowiu osiemdziesiątki, a na jego kazania można byłoby do dziś przychodzić do kościoła św. Stanisława Kostki na Żoliborzu?

Można sobie też wyobrazić, że weszlibyśmy na drogę transformacji ustrojowej i ekonomicznej podobnej do tej, która nastąpi dekadę później. Z tą tylko różnicą, że stałoby się to w roku 1980, a nie po 1989. To znaczy w kompletnie innej rzeczywistości politycznej. Może dzięki temu w sposób mniej szokowy, a bardziej przemyślany? Może bez natychmiastowego i niszczącego społecznie skoku bezrobocia z zera do kilkunastu procent? Może bez konieczności natychmiastowego wystawienia rodzimych przedsiębiorstw na morderczą walkę z cwanymi lisami niemieckiego czy francuskiego kapitalizmu?

Myślę o tym, czytając w tych dniach na nowo 21 postulatów z tamtego Sierpnia. A takie „co by było...” nie nastawia mnie do nich przecież krytycznie. Przeciwnie – dzięki temu widać lepiej, jak wiele mądrości i dalekowzroczności było w tym, czego domagali się od władzy strajkujący 44 lata temu związkowcy. I jak bardzo aktualne są także dziś postulaty Solidarności.

eprasa.pl 9fefc58b7b

Temat Tygodnia

Postulaty Sierpnia POZOSTAJĄ W MOCY

Mijają właśnie 44 lata od podpisania Porozumień Sierpniowych. Obchody tej rocznicy w świecie idealnym byłyby tylko wielkim świętem zwycięstwa Solidarności i walczących nie tylko o swoje prawa pracowników. Jednak spoglądając dziś na listę 21 postulatów, widać, że wiele z nich nigdy nie zostało spełnionych. Zaś część nie straciła wcale na ważności – z szumnie ogłoszonym upadkiem komunizmu. Są wreszcie i takie, które w ostatnich latach niepokojąco **zyskują na aktualności**. Tylko kilka z nich jest tak mocno związanych z „tu i teraz" sierpnia 1980 roku, że można uznać je – tylko i aż – za część historii.

Krzysztof Karnkowski

Jest oczywiste, że w przypadku postulatów z tej grupy od początku zaczęły się intrygi i próby obejścia porozumień, tak jak w przypadku rejestracji Solidarności. Wbrew pozorom tych ostatnich jest tak naprawdę niewiele. Z postulatów politycznych na boku zostawiamy więc jedynie dwa z trzech podpunktów punktu 4.: „Przywrócić do poprzednich praw: a) ludzi zwolnionych z pracy po strajkach w 1970 i 1976 r. i studentów wydalonych z uczelni za przekonania, b) zwolnić wszystkich więźniów politycznych (w tym Edmunda Zadrożyńskiego, Jana Kozłowskiego, Marka Kozłowskiego) – z zastrzeżeniem, że nawet w okresie karnawału Solidarności mieliśmy w Polsce więźniów politycznych, a także osoby represjonowane za przekonania, a stan wojenny przyniósł nową potężną falę prześladowań. Spełniony został punkt 5.: „Podać w środkach masowego przekazu informację o utworzeniu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego oraz publikować jego żądania".

Prawa i swobody

Ułatwmy sobie zadanie, dzieląc Sierpniowe Postulaty na dwie grupy: na oczekiwania dotyczące kwestii politycznych i światopoglądowych oraz socjalno-bytowych. Punkt 1. – „Akceptacja niezależnych od partii i pracodawców wolnych związków zawodowych wynikających z ratyfikowanych przez PRL Konwencji nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy, dotyczących wolności związków zawodowych" – spełniony został nie bez opóźniania i szukania kruczków prawnych, po czym działalność związkowa zaczęła napotykać problemy. Rejestracje „S" rolniczej czy Niezależnego Zrzeszenia Studentów wymagały kolejnych batalii, a próby zrzeszania się mundurowych spotkały się z oporem, w pewnym stopniu zwiastującym stan wojenny i tymczasowy koniec wolnych związków zawodowych. Zmiana ustroju sytuację wywróciła do góry nogami, lecz nie było to po myśli tych, którzy do niej doprowadzili. Prywatni właściciele bardzo często szykanują związkowców i blokują organizowanie się pracowników. Co gorsza,

eprasa.pl 9fefc58b7b

Fot. Krzysztof Korczyński / Wikipedia

Tablice z 21 postulatami Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego umieszczone na budynku portierni przy bramie nr 2 Stoczni Gdańskiej im. Lenina

również państwo występujące w roli pracodawcy trójstronne często nie przyznaje związkowcom należytego miejsca. Zważywszy na nastawienie obecnej władzy, można się obawiać, że sytuacja ta będzie się w najbliższym czasie pogarszać. Te same uwagi dotyczą punktu 2. – „Zagwarantowania prawa do strajku oraz bezpieczeństwa strajkującym i osobom wspomagającym". W ostatnich tygodniach słyszeliśmy choćby o groźbach kierowanych wobec związkowców w PKP Cargo. Przepisy teoretycznie stoją tu po stronie protestujących, jednak dość często słyszymy o zwolnieniach, po których ludzi tracących środki do życia czeka jeszcze walka w sądzie pracy. Czasem z szansą na wygraną.

Postulat 3. to: „Przestrzegać zagwarantowanej w Konstytucji PRL wolności słowa, druku, publikacji, a tym samym nie represjonować niezależnych wydawnictw oraz udostępnić środki masowego przekazu dla przedstawicieli wszystkich wyznań". Nie mamy już konstytucji PRL, mamy za to wolny rynek, dyktaty reklamodawców, medialne blokowanie tematów, a czasem i administracyjne szykany – o czym Solidarność, zwłaszcza w Gdańsku, przekonuje się nadzwyczaj często. Trzeba było zmienić bardzo wiele, by prawie wszystko zostało po staremu, choć już w przebraniu liberalnej demokracji. Katalog poglądów, których nie można głosić w przestrzeni publicznej, narasta, co gorsza, jest to trend obowiązujący na całym Zachodzie. Wystarczy spojrzeć choćby na Wielką Brytanię i reakcje aparatu państwa na wzburzenie obywateli. U nas szykowana jest ustawa o „mowie nienawiści", a i bez niej można było pałować i gazować ludzi na warszawskich ulicach w lutym tego roku. W ferworze powyborczych dyskusji pojawiały się sugestie, by nowa władza zrezygnowała z nadawania Mszy w mediach publicznych, w warszawskim Ratuszu nakazano zdejmować krzyże, a liberalna elita zdaje się przymierzać właśnie do starcia z Radiem Maryja. Wspomniałem już o punkcie 4., zostawiłem jednak na potem jego podpunkt c) postulujący zniesienie

eprasa.pl 9fefc58b7b

represji za przekonania. Jak wiemy, od lat bywa z tym różnie, za niewłaściwe poglądy podpaść można na uczelni, w instytucji państwowej, ale i w prywatnej korporacji, chcącej żyć dobrze z państwem lub po prostu obligatoryjnie przyjmującej poglądy swoich szefów – krajowych lub zagranicznych. Wspomnijmy choćby o zwolnieniu pracownika IKE-i za cytowanie Pisma Świętego czy czystkach na najniższych nawet stanowiskach po każdej zmianie władzy wyższego i niższego szczebla.

Punkt 6. można odnieść tylko do PRL AD 1980, ale inaczej brzmi on rozpatrywany współcześnie. „Podać realne działania mające na celu wyprowadzenie kraju z sytuacji kryzysowej poprzez: podanie do publicznej wiadomości pełnej informacji o sytuacji społeczno-gospodarczej, umożliwienie wszystkim środowiskom i warstwom społecznym uczestniczenie w dyskusji nad programem reform". Czy dziś otrzymujemy zawsze pełne dane, czy jedynie ich korzystną dla władz i właścicieli mediów głównego nurtu interpretację? Czy w pracach nad nowymi rozwiązaniami brani są pod uwagę przedstawiciele wszystkich zainteresowanych grup? Cóż, wiemy, że bywa z tym bardzo różnie, a czasem demokratyczny mandat władzy okazuje się być pretekstem do sekowania opozycji.

O godny byt

Kolejne postulaty wkraczają już w sferę ekonomii i polityki społecznej. Mogło by się więc wydawać, że tu więcej będzie spraw zrealizowanych i zupełnie nieaktualnych, ale nic bardziej błędnego. Owszem, pięć punktów (7., 8., 10., 11. i 20.) można uznać za przypisane do konkretnej chwili lub sytuacji gospodarczej w lecie '80, jak jednak jest z pozostałymi żądaniami? Znów prześledzimy je po kolei. Postulat 9. to oczekiwanie wzrostu płac równoległego do wzrostu cen i spadku wartości pieniądza. W 1980 roku prawie wszyscy pracownicy byli budżetówką. Dziś, gdy państwo i samorządy pozostają liczącymi się pracodawcami, waloryzacja płac okazuje się być nie lada problemem i przyczyną kolejnych, nieraz dramatycznych w swej wymowie strajków – choćby w oświacie czy służbie zdrowia. „Wprowadzić zasady doboru kadry kierowniczej na zasadach kwalifikacji, a nie przynależności partyjnej oraz znieść przywileje MO, SB i aparatu partyjnego poprzez: zrównanie zasiłków rodzinnych, zlikwidowanie specjalnych sprzedaży itp." – brzmi 12. żądanie z 1980 roku. I znów – jesteśmy w zupełnie innej Polsce, tymczasem sytuacja powyborcza, w której się znajdujemy, pokazuje, że w kwestii, którą obejmuje pierwsza część postulatu, nie zmieniło się za wiele: o nominacjach decydują przynależność partyjna i znajomości, co gorsza, nawet współpraca z SB nie musi być przeszkodą, choć trochę narzekają na nią media czy internauci.

Naszą czujność uśpić może postulat 13. dotyczący wprowadzenia kartek na mięso. Kartki, które miały zabezpieczać minimum potrzeb obywateli, z łatania kryzysu stały się jego symbolem. Wydawałoby się, że odeszły raz na zawsze jeszcze przed końcem komuny, ale... przecież mogą wrócić, tym razem jako działanie proekologiczne liberalnych elit, które planują już odgórne ograniczanie spożycia mięsa dla obywateli. Zobowiązania tego typu podjęli przecież włodarze największych miast świata, w tym Warszawy, w ramach agendy C40. Idźmy dalej, choć ta droga zaczyna

PRYWATNI WŁAŚCICIELE CZĘSTO SZYKANUJĄ ZWIĄZKOWCÓW I BLOKUJĄ ORGANIZOWANIE SIĘ PRACOWNIKÓW. RÓWNIEŻ PAŃSTWO WYSTĘPUJĄCE W ROLI PRACODAWCY CZĘSTO NIE PRZYZNAJĄ ZWIĄZKOWCOM NALEŻYTEGO MIEJSCA.

TRZEBA BYŁO ZMIENIĆ BARDZO WIELE, BY PRAWIE WSZYSTKO ZOSTAŁO PO STAREMU, CHOĆ JUŻ W PRZEBRANIU LIBERALNEJ DEMOKRACJI.

eprasa.pl 9fefc58b7b

robić się coraz bardziej przygnębiająca. 14.: „Obniżyć wiek emerytalny dla kobiet do 55 lat, a dla mężczyzn do lat 60 lub przepracowanie w PRL 30 lat dla kobiet i 35 lat dla mężczyzn bez względu na wiek". Mamy 2024 rok i zastanawiamy się, czy władza nie wróci do podwyższonego wieku emerytalnego, obniżonego w początkach rządu PiS. Niektórzy eksperci związani z obozem „uśmiechniętej Polski"twierdzą, że konieczne będzie wręcz wydłużenie pracy do 70. roku życia. Dobrze, że choć problem starego portfela (punkt 15.) został też wcale nie tak dawno temu rozwiązany. Punkt 16. („Poprawić warunki pracy służby zdrowia, co zapewni pełną opiekę medyczną osobom pracującym") każe zastanowić się, czy pamiętają Państwo, by kiedykolwiek system opieki zdrowotnej działał w pełni sprawnie i nie był rozrywany konfliktem zapatrzonych w różne doktryny i interesy polityczne urzędników. Gdy piszę ten tekst, z rządzącej koalicji wychodzi pomysł, by najbogatsi płacili mniejszą składkę zdrowotną, niż gorzej zarabiający obywatele. Kolejny postulat okazuje się być aktualny i to w sposób z roku na rok coraz bardziej palący. Oczekiwaniem strajkujących wyrażonym w postulacie 17. było „zapewnienie odpowiedniej ilości miejsc w żłobkach i przedszkolach dla dzieci kobiet pracujących". Nie pomogła tu zmiana ustroju, nie pomogła częściowa komercjalizacja usług w tej branży. Choć miejsc w żłobkach przybywa, jeszcze w zeszłym roku w 44% gmin nie było żadnej placówki zapewniającej opiekę dzieciom do lat 3. Sytuację ratować miało obiecane przez Donalda Tuska „babciowe", jednak praktyka okazała się być okrutną karykaturą założeń. Kolejne gminy podnoszą opłaty za żłobki tak, by skonsumować całość pieniędzy, które w ramach tej pomocy dostają obywatele. Z urlopami macierzyńskimi (pkt 18.) jest niewiele lepiej niż z emerytami. Protestujący oczekiwali wprowadzenia urlopu na czas trzyletniego wychowywania dziecka, dziś wynosi on jednak – w najlepszym razie – 20 tygodni po urodzeniu jednego dziecka. Urodziny bliźniąt wydłużają czas wolny od pracy, jeśli szczęśliwa mama urodzi pięcioraczki, państwo zapewni jej 37 tygodni urlopu. To jednak wciąż dużo mniej, niż chcieli robotnicy w 1980 roku. 19.: „Skrócić czas oczekiwania na mieszkania" – cóż, szkoda gadać, z tym problemem nie radzi sobie nikt, a państwowy bezwład zastąpiła chciwa patodeweloperka. Dość przypomnieć, że program „Mieszkanie +", w dużym stopniu przez brak współpracy samorządów, lecz przecież nie tylko z tego powodu, uchodzi za największą chyba porażkę ośmioletnich rządów Prawa i Sprawiedliwości. Kolejne pomysły kredytowe skutkują jedynie podwyżkami cen, a z jedynego realnie ułatwiającego ludziom wybudowanie domu przepisu (ograniczenie biurokracji i pozwoleń dla budynków poniżej 70 m^2) nowe władze planują się wycofać. Wreszcie ten ostatni, dwudziesty pierwszy postulat: „Wolne soboty". Od lat 70. powoli wprowadzano do kalendarza kilka wolnych od pracy sobót w roku. Choć postulat został przez władze przyjęty, nie został wprowadzony w życie w pełnej wersji. W 1989 roku wprowadzono jednak najpierw dwie, a później trzy wolne soboty w miesiącu. Dziś politycy i dziennikarze dwoją się i troją, a czasem wręcz rozkręcają histerię, by wymusić przywrócenie pracy w niedzielę dla pracowników handlu. Sieci handlowe częściowo pogodziły się już z tą wywalczoną przez Solidarność zmianą, częściowo obchodzą je w absurdalny sposób. I choć wielu z nas soboty ma wolne, a inni pracują w zawodach, w których praca w ten dzień w przynajmniej ograniczonym wymiarze jest konieczna, trudno z czystym sumieniem napisać, że postulat kończący historyczną listę został spełniony.

POLITYCY I DZIENNIKARZE DWOJĄ SIĘ I TROJĄ, A CZASEM WRĘCZ ROZKRĘCAJĄ HISTERIĘ, BY WYMUSIĆ PRZYWRÓCENIE PRACY W NIEDZIELĘ DLA PRACOWNIKÓW HANDLU.

W kraju, w którym tyle rządów określano jako „postsolidarnościowe" postulaty Sierpnia wciąż nie mogą stać się jedynie wspomnieniem. Dziedzictwo tamtego czasu jest aktualne nie tylko jako piękny moment naszej historii, ale też – niestety – jako lista niezałatwionych często spraw. Często powtarzamy, że wolność nie jest nigdy dana raz na zawsze. Mądrość tę rozszerzyć można na wszystko, co w jakimś stopniu udało się wyrwać możnym tego świata. Solidarność była potrzebna w sierpniu 1980 roku, czterdzieści cztery lata później potrzebna jest nadal.

eprasa.pl 9fefc58b7b

„Koledzy, na nas padło”

– Cały strajk sierpniowy to były historyczne momenty i trudno się otrząsnąć z wrażenia, że ktoś tymi momentami kierował. I że nie była to bezpieka. Cuda się zdarzają jednak wtedy, kiedy dajemy Panu Bogu możliwość uczynienia cudów, czyli jeżeli działamy. Grzechem jest nic nie robić i modlić się o cud, natomiast powinnością jest zrobić to, co się uważa za słuszne i prosić Boga o błogosławieństwo – mówi **Andrzej Gwiazda**, współtwórca Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża i NSZZ „Solidarność”, w rozmowie z **Agnieszką Żurek**.

– Jakie refleksje towarzyszą Panu w te sierpniowe dni przed kolejną rocznicą podpisania Porozumień?

– Porozumienie Gdańskie było bardzo głębokim kompromisem, dużym ustępstwem z obu stron. Stanęliśmy wówczas wobec konieczności podjęcia decyzji o bardzo dużym znaczeniu dla przyszłości. I do dzisiaj nie wiemy, czy postąpiliśmy słusznie i czy mogliśmy postąpić inaczej.

– W jakich aspektach?

– W sprawie wolności i niepodległości, bo w końcu to właśnie było naczelnym celem, chociaż oczywiście działaliśmy w formule związków zawodowych. Ideę związkową rozumieliśmy jako dążenie do niepodległości i zwalczanie komuny poprzez „podgryzanie” jej korzeni. Na tamtym etapie uważaliśmy formułowanie programów politycznych za mało sensowne, ponieważ najpierw trzeba było odzyskać niepodległość, żeby w ogóle móc o nich rozmawiać. Proponowana przez nas formuła związkowa polegała na tym, że nie obiecywaliśmy społeczeństwu gruszek na wierzbie, ale podejmowaliśmy konkretne działania, których efekty można było na bieżąco weryfikować. Związki zawodowe to nie były polityczne obietnice, ale konkretne czyny przekuwane w choćby drobne sukcesy. Tak było w czasach Wolnych Związków Zawodowych, kiedy to dany związek weryfikował sam siebie poprzez wcielanie w życie konkretnych pomysłów, nawet w drobiazgach, dzięki czemu stawiało się jasne, co się sprawdza, a co nie i którzy ludzie coś rzeczywiście potrafią. Wiadomo było, że jeżeli mamy osiągnąć sukces, musimy działać jako masowy ruch społeczny, bo tylko on może zmusić komunę do ustępstw. Żyliśmy przecież w systemie totalitarnym. Działalność związkowa wzmacniała społeczeństwo i osłabiała przeciwnika. Wszyscy mieliśmy wówczas jednego pracodawcę, czyli państwo komunistyczne. Zatem kiedy na drodze działalności związkowej udawało nam się np. wywalczyć podwyżki dla pracowników, wzmacnialiśmy tym samym siebie, a osłabialiśmy władzę. Było to zwiększenie strumienia wypracowanych środków przeznaczanych na potrzeby społeczeństwa, kosztem systemu.

– Jak ocenia Pan dzisiejszą rzeczywistość w tym aspekcie? Społeczeństwo korzysta z owoców swojej pracy czy niekoniecznie?

– W dzisiejszej Polsce napięcia polityczne są chyba większe niż w czasach komuny. Tak jak wówczas uważaliśmy, że komuna działa przeciwko interesom Polski i jej obywateli, podobnie i dzisiaj mamy wyraźne odwzorowanie tej sytuacji, kiedy to jedna partia działa na rzecz kraju i społeczeństwa, druga zaś robi wszystko, co dla Polski niekorzystne. Różnica jest taka, że za komuny nie mogliśmy wybrać sobie, kto będzie nami rządził. Partia komunistyczna miała wprawdzie dwa miliony członków, ale jak się okazało, nie wszyscy z nich byli przeciwni realizowaniu polskich interesów. Nawet w propagandzie komunistycznej nie lansowano idei jawnie sprzecznych z interesem państwa. Wszystko działo się po cichu, na sztandarach niesione były hasła o tym, że partia robi wszystko dla narodu, a naród działa wspólnie

IDEĘ ZWIĄZKOWĄ ROZUMIELIŚMY JAKO DĄŻENIE DO NIEPODLEGŁOŚCI I ZWALCZANIE KOMUNY POPRZEZ „PODGRYZANIE” JEJ KORZENI.

eprasa.pl 9fefc58b7b

Fot. T. Gutry

z partią. Fakty były jednak takie, że system komunistyczny gospodarczo nie panował nawet nad drobiazgami. I wydaje mi się, że dzisiaj ta sytuacja gospodarczego rozchwiania kraju powtarza się w przededniu tej symbolicznej – Mickiewiczowskiej – 44. rocznicy podpisania Porozumień Sierpniowych. Kiedyś był jeden ośrodek władzy, obecnie odpowiedzialność jest bardziej rozmyta. Jednego nie rozumiem – dlaczego ludzie głosują w sposób oczywisty, jawny, bez żadnych w zasadzie kamuflaży, przeciwko własnym interesom? Pewien dziennikarz zapytał mnie kiedyś: „Spotyka się Pan z ludźmi, nie traci Pan kontaktu ze społeczeństwem. O co ludzie najczęściej Pana pytają?”. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że ludzie mnie zaczepiają i pytają, skąd się biorą zwolennicy Platformy. Podchodzą do mnie ludzie w tramwaju, w autobusie, na ulicy, na przystanku i mówią, że nie rozumieją, skąd się to bierze. I ja też nie rozumiem. Nie mogę na to pytanie odpowiedzieć. To rzecz zdumiewająca, jest to pewnie wynik działania propagandy. Wróćmy jednak do Porozumień Sierpniowych. Warto przypomnieć, że otrzymały one negatywną ocenę od prof. Bronisława Geremka. Nie należy lekceważyć tego głosu, ponieważ pochodził on z samego jądra tworzącego się systemu postkomunistycznego. Komuniści francuscy, z którymi przez te 40 lat mieliśmy oczywiście kontakty, z pełnym przekonaniem twierdzili, że prof. Geremek wówczas, gdy był dyrektorem Instytutu Polskiego w Paryżu, był nadzorcą partii komunistycznej z ramienia Moskwy. Warto z tej perspektywy spojrzeć na jego wypowiedź z listopada 1981 roku o tym, że nieuniknione jest rozwiązanie siłowe, a kiedy wszystko się już uspokoi, będzie można wówczas przywrócić Solidarność, ale bez programu gdańskiego. Można zatem powiedzieć, że Gdańsk otrzymał od niego najbardziej okazałą „laurkę”.

– Chodziło o pozbawienie Solidarności jej tożsamości niepodległościowej i chrześcijańskiej?

– Nie wiem, o co chodziło Geremkowi. Znam jego działalność w Solidarności, która była cały czas bardzo precyzyjnie wymierzona w interesy Związku. Również jako doradca „S” zabierał na Komisji Krajowej głos, który zawsze był przeciwny związkowi. Jeszcze przed podpisaniem Porozumień Sierpniowych było dla nas, wąskiego grona działaczy, jasne również to, że Lech Wałęsa jest agentem bezpieki. Było to widać

eprasa.pl 9fefc58b7b

w jego postępowaniu. To utrudniało, a wręcz uniemożliwiało nam opracowanie odpowiedniej strategii rozmów z władzami komunistycznymi. Nie wszyscy koledzy w kierownictwie strajku byli przekonani, że Wałęsa jest agentem, toteż zawsze istniało ryzyko, że jeśli będziemy cokolwiek planować poza nim, to któryś z kolegów go o tym poinformuje. Tymczasem negocjacje z władzą totalitarną rządzą się właściwie tymi samymi prawami, co wojna. A na wojnie nie ma nic gorszego niż sytuacja, kiedy przeciwnik pozna nasze cele strategiczne i taktyczne. Program gdański tworzył się w toku nieustannej, 24-godzinnej dyskusji. W pewnym momencie stwierdziłem, że musimy obrać jakiś konkretny i realny cel, bo walcząc o wszystko, możemy wszystko przegrać. Doszedłem do wniosku, że najważniejsze jest to, aby doprowadzić do takiego stanu, w którym władza zgodzi się na nasze propozycje i nie będzie mogła wycofać się z nich przynajmniej przez pół roku. Sześć miesięcy wystarczy, aby nauczyć całe społeczeństwo walki pozainstytucjonalnej. I jeśli po tym półrocznym okresie trafimy do więzień, nie będzie to wielki uszczerbek, bo ludzie sami poprowadzą walkę dalej. Jak widać, osiągnęliśmy dużo, ale nie podjęliśmy próby tego szkolenia społeczeństwa do walki pozainstytucjonalnej.

NIE OBIECYWALIŚMY SPOŁECZEŃSTWU GRUSZEK NA WIERZBIE, ALE PODEJMOWALIŚMY KONKRETNE DZIAŁANIA, KTÓRYCH EFEKTY MOŻNA BYŁO NA BIEŻĄCO WERYFIKOWAĆ.

– Gorącą walkę stoczyli Państwo nie tylko o kształt Porozumień, ale o samo utrzymanie strajków.

– Strajk w obronie Ani Walentynowicz zaczął się 14 sierpnia, a 17 został zakończony przez Wałęsę. Wolne Związki Zawodowe odpowiedziały na to wezwaniem strajkujących zakładów do stworzenia wspólnego kierownictwa, czyli do powołania Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. I od tego momentu zaczęło się tworzenie programu gdańskiego. Poprosił mnie w tamtym czasie o rozmowę człowiek, który niewątpliwie był wysokim funkcjonariuszem partyjnym. Nazywał się Mościbrocki. Powiedział on, że w pierwszym dniu strajku w Komitecie Wojewódzkim Partii spotkał Wałęsę i spytał go: „Czy pan się nie obawia, że to się za bardzo rozprzestrzeni?”. Na to Wałęsa odpowiedział: „Coś pan, trzeciego dnia hołotę do roboty zagonię!”. Stocznia Północna nie chciała przystąpić do Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego właśnie ze względu na Wałęsę. Uznali, że jeśli zdrajca jest na czele, to oni do takiej organizacji nie przystąpią. Dopiero Ania Walentynowicz przekonała, żeby to zrobili w imię solidarności... Ja wtedy po raz pierwszy usłyszałem publicznie słowo: „Solidarność”. Jeszcze nie mieliśmy nawet mikrofonów, przemawialiśmy przez blaszaną tubę.

– Historyczny moment.

– Można powiedzieć, że cały strajk sierpniowy to były historyczne momenty i trudno się otrząsnąć z wrażenia, że ktoś tymi momentami kierował. I że nie była to bezpieka. Po zwolnieniu z pracy Ani Walentynowicz wydrukowaliśmy ulotki wzywające do jej obrony, czyli faktycznie do strajku. Główny ciężar ich rozdawania wzięli na siebie studenci. 14 sierpnia w Gdańskich Zakładach Maszyn Elektrycznych, czyli w „Elmorze”, nikt nie pracował, łączyliśmy się na bieżąco ze Stocznią, czekając na informację, czy zakład stanie. Jeśli

PRZEJEŻDŻAMY KOŁO STOCZNI, A TAM CHŁOPAKI Z BIAŁO-CZERWONYMI FLAGAMI. PYTAMY, CO SIĘ DZIEJE, A ONI MÓWIĄ: „ZOSTAŁO NAS BARDZO MAŁO, GÓRA TYSIĄC OSÓB, ALE WSZYSCY SIEDZIMY NA PŁOCIE, ŻEBY MIASTO WIDZIAŁO, ŻE STRAJK SIĘ NIE SKOŃCZYŁ”.

eprasa.pl 9fefc58b7b

stanie Stocznia, wiadomo, że następnego dnia stajemy my. Trzeciego dnia było już oczywiste, że strajkuje kilkadziesiąt zakładów i że konieczna jest koordynacja komitetów strajkowych i uzgodnienie planów działań. Wiadomo było, że szykuje się duże wydarzenie historyczne. Poszliśmy więc do Stoczni, żeby podjąć rozmowy na ten temat i nagle dowiadujemy się, że Wałęsa ogłosił zakończenie strajku. „Elmor" liczył wówczas 2500 ludzi, a Stocznia 16800, to były nieporównywalne siły. Po zerwaniu strajku przez Wałęsę nagle nasza delegacja znajdowała się na terenie Stoczni nielegalnie, bo bez zezwoleń. To podlegało prawu karnemu. Biegiem wróciliśmy zatem do „Elmoru". Jako przewodniczący Komitetu Strajkowego zwołałem załogę i przedstawiłem sytuację. Ewidentna zdrada. Wszyscy wiedzieli, że wobec zdrady Wałęsy jest tylko jeden sposób ratowania tego strajku. Bez strajku w Stoczni, strajki w mniejszych zakładach pójdą w rozsypkę. Musimy zatem działać razem. Ale jaka jest gwarancja, że inne zakłady nie zdradzą tak, jak Wałęsa? Musimy zatem znaleźć choć jeden zakład, który przysięgnie, że nie zawrze z komunistami indywidualnego porozumienia, dopóki nie porozumie się z pozostałymi. I na ten zakład zostanie skierowana cała nienawiść systemu, a jego załodze grozi półroczne bezrobocie albo nawet zamknięcie zakładu – komuniści są zdolni do wszystkiego. I mówię: koledzy, na nas padło. My teraz decydujemy o tym, czy damy radę utrzymać strajk. Dwa i pół tysiąca ludzi zebranych na placu. Kto jest za? Cisza. I za chwilę zaczynają podnosić ręce. Podnosi się las rąk. Przeciw nie ma nikogo. Kto się wstrzymał? Dwie osoby.

– Co było dalej?

– Wtedy już, nie pytając dyrektora, wzięliśmy jakiś samochód dostawczy i zaczęliśmy jeździć po strajkujących zakładach, zapewniając, że jest jeden zakład, który przysiągł, że nie odstąpi od zbiorowej decyzji. Wracamy, kończy nam się benzyna, ale jesteśmy już blisko, najwyżej dopchniemy samochód na miejsce. Ale przejeżdżamy koło Stoczni, a na płocie, na tym murze stoczniowym, siedzą młode chłopaki z biało-czerwonymi flagami. Podjechaliśmy pod płot, pytamy, co się dzieje, a oni mówią: „Słuchajcie, zostało nas bardzo mało, góra tysiąc osób, ale wszyscy siedzimy na płocie, żeby miasto widziało, że strajk się nie skończył". Z kolei niezależnie od nas na bramy Stoczni poszły: Ania Walentynowicz, powszechnie znana już w Stoczni, niesłychanie ceniona jako doskonały spawacz-artysta, Alina Pieńkowska, pielęgniarka, i Ewa Ossowska, nieznana nikomu dziewczyna, ale bardzo ładna. I gdy kobiety wychodzących pracowników nazwały tchórzami i pętakami i zamknęły bramy Stoczni, strajk się utrzymał. Tak więc dwa zupełnie niezależne od siebie wydarzenia dały efekt.

– Niesamowite. Opatrzność czuwała.

– Cuda się zdarzają wtedy, kiedy dajemy Panu Bogu możliwość uczynienia cudów. Czyli jeżeli działamy. Grzechem jest nic nie robić i modlić się o cud, natomiast powinnością jest zrobić to, co się uważa za słuszne i prosić Boga o błogosławieństwo.

– Jakie dziś zadania stoją przed Solidarnością?

– Przede wszystkim walka o to, aby ludzie tacy jak ks. Michał Olszewski zostali zwolnieni z więzień. Kolejna ogromna sprawa to masowe zwolnienia i likwidacja zakładów, czyli uderzenie w infrastrukturę państwa – PKP Cargo, Poczta Polska, przemysł wydobywczy... Do obalenia propagandowego walca na temat dwutlenku węgla wystarczy internet i kalkulator – wykazanie, że wytwarzany przez człowieka dwutlenek węgla nie ma wpływu na atmosferę, nie jest trudne, ale trzeba umieć przyjmować fakty i wyciągać wnioski. Trzeba też działać. Jechałem kiedyś z pewną komisją zakładową pociągiem, spotkaliśmy się przypadkowo. Zaczęła się rozmowa o sytuacji w ich miejscu pracy. I pytam ich: „A chcieliście strajkować wtedy, kiedy była napięta sytuacja, kiedy się sprawy ważyły?". Odpowiedzieli: „No nie, no wtedy nie było takiej możliwości". Zapytałem: „No jak to nie było możliwości? Byli pracownicy?". Odpowiedzieli, że byli, więc skwitowałem: „No to jak są pracownicy, to znaczy, że są możliwości".

JEDNEGO NIE ROZUMIEM – DLACZEGO LUDZIE GŁOSUJĄ W SPOSÓB OCZYWISTY, JAWNY, BEZ ŻADNYCH W ZASADZIE KAMUFLAŻY, PRZECIWKO WŁASNYM INTERESOM?

Andrzej Gwiazda jest inżynierem elektronikiem, związkowcem, nauczycielem akademickim, publicystą, działaczem opozycji niepodległościowej w okresie PRL, współtwórcą Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża i NSZZ „Solidarność", kawalerem Orderu Orła Białego.

eprasa.pl 9fefc58b7b

Kto daje i odbiera...

Fot. T. Gutry

Postulaty Sierpniowe przez całe dziesięciolecia **wyznaczały kierunek działań NSZZ „Solidarność”**. Już w wolnej Polsce Związek starał się i nadal stara zrealizować do końca postulaty wywieszone w 1980 roku na bramie Stoczni. W ostatnich latach wiele w tym zakresie udało się osiągnąć. Ostatnie miesiące jednak pokazują, że poprawa sytuacji pracowników nie jest oczywistością dla każdej władzy.

Barbara Michałowska

Postulaty, które 17 sierpnia 1980 roku wywieszono na bramie Stoczni Gdańskiej, tylko częściowo udało się zrealizować po podpisaniu Porozumień Sierpniowych. Rzeczywistość po transformacji ustrojowej również nie okazała się sprzyjająca ich realizacji. Kolejne rządy mniej lub bardziej przychylne związkowym postulatom wprowadzały reformy rynku pracy, jednak sytuacja pracowników nadal była daleka od ideału.

Przyzwyczailiśmy się już do tego, że Postulaty Sierpniowe to relikt przeszłości, a na nowe czasy potrzebne są inne rozwiązania – niekoniecznie sprzyjające sytuacji pracobiorców. Apogeum tej tendencji nastąpiło podczas kryzysu w latach 2007–2009. Wówczas często wręcz cofano się w polityce społecznej. Podniesiono wiek emerytalny, mrożono wynagrodzenia w sferze budżetowej, liberalizowano Kodeks pracy.

Solidarność jednak o Postulatach Sierpniowych nigdy nie zapomniała. A szczególnie o tych, które nie zostały w pełni lub wcale zrealizowane w wyniku sierpniowo-wrześniowych porozumień. I gdy w 2015 roku do władzy doszło PiS, rozpoczęto długą drogę negocjacji w sprawach, na których zależało Związkowi.

Po pierwsze niezależne związki

Po 1989 roku pluralizm związkowy ominął Służbę Więzienną, Służbę

eprasa.pl 9fefc58b7b

Graniczną i Policję. To NSZZ „Solidarność” wystąpił do prezydenta Andrzeja Dudy z wnioskiem, by to zmienić. Prezydent wystąpił więc z inicjatywą ustawodawczą i po przejściu projektu przez proces legislacyjny w 2019 roku monopol związkowy w służbach został przełamany.

Następne miesiące i lata pokazały, że potrzeba tworzenia związków w służbach była potrzebna i oczekiwana przez samych funkcjonariuszy. W wielu jednostkach powstawały – i wciąż powstają – prężnie nowe organizacje.

Wyższe płace

To Solidarność co roku zabiega o wzrost minimalnego wynagrodzenia. W poprzednich latach udało się jej wywalczyć znaczące podwyżki pensji. W 2011 roku NSZZ „Solidarność” zebrał 350 tys. podpisów pod obywatelskim projektem ustawy o płacy minimalnej. Projekt miał na celu powiązanie minimalnego wynagrodzenia z poziomem wzrostu PKB i stopniowe podwyższanie minimalnego wynagrodzenia za pracę do wysokości 50% przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce narodowej. Kolejne lata pokazały, że minimalne wynagrodzenie może być ustalone na godziwym poziomie i że niesie to za sobą szkody dla gospodarki. Jak wyliczył w ubiegłym roku Marcin Krzeszowiec na łamach „Tygodnika Solidarność”, od 1 lipca 2023 roku płaca minimalna wzrosła na rękę o ponad 116% w stosunku do 2015 roku.

Podobnie rewolucyjnym rozwiązaniem okazało się wprowadzenie minimalnej stawki godzinowej na umowach-zleceniach, która obowiązuje od 2017 roku.

NSZZ „Solidarność” udało się także wyłączyć z wymiaru płacy minimalnej najpierw dodatek nocny w 2017 roku, a potem dodatek stażowy od 2020 roku. W ubiegłym roku zaś wyłączono ostatni dodatek – za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia.

TO SOLIDARNOŚĆ CO ROKU ZABIEGA O WZROST MINIMALNEGO WYNAGRODZENIA. W POPRZEDNICH LATACH UDAŁO SIĘ JEJ WYWALCZYĆ ZNACZĄCE PODWYŻKI PENSJI.

Solidarność doprowadziła również do tego, że przestano mrozić płace w budżetówce. Po spotkaniu przedstawicieli Związku z premierem Mateuszem Morawieckim w 2018 roku odmrożono kwotę bazową w wynagrodzeniach w sferze finansów publicznych. Solidarność zabiegała także o odmrożenie zakładowego funduszu świadczeń socjalnych. W czerwcu 2023 roku pomiędzy NSZZ „Solidarność” a rządem Mateusza Morawieckiego podpisano porozumienie, które zawierało szereg korzystnych rozwiązań dla pracowników. Jednym z nich było właśnie odmrożenie ZFŚS. Od lipca 2023 roku nastąpiło jego częściowe odmrożenie według podstawy na rok 2021, a w 2024 roku wskaźnik oblicza się na podstawie przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce narodowej w drugim półroczu 2023 roku.

Na podstawie porozumienia ze Stalowej Woli wprowadzono także podwyżki dla sfery budżetowej, jak również dodatki dla pracowników Domów Pomocy Społecznej.

Lepsze warunki dla pracowników

Solidarność to także siła, której udało się doprowadzić do uchwalenia ustawy regulującej wynagrodzenia pracowników służb medycznych oraz pracowników niemedycznych. Dzięki niej są one wypłacane według jasnych reguł i co roku waloryzowane.

NA PODSTAWIE POROZUMIENIA ZE STALOWEJ WOLI WPROWADZONO PODWYŻKI DLA SFERY BUDŻETOWEJ, JAK RÓWNIEŻ DODATKI DLA PRACOWNIKÓW DOMÓW POMOCY SPOŁECZNEJ.

Dzięki staraniom Związku od września 2016 roku udało się

eprasa.pl 9fefc58b7b

zlikwidować tzw. syndrom pierwszej dniówki. Pracodawca ma od tego czasu obowiązek podpisania z pracownikiem umowy przed dopuszczeniem go do pracy.

Wreszcie dzięki zabiegom Związku weszła w życie nowelizacja Kodeksu pracy, która zapewniała szczególną ochronę kobietom w ciąży i karmiącym matkom. Prezydent Andrzej Duda podpisał tę ustawę 11 lipca 2016 roku. Dzięki niej kobiety w ciąży nie mogą już wykonywać prac uciążliwych, niebezpiecznych lub szkodliwych dla zdrowia, mogących mieć niekorzystny wpływ na ich zdrowie, przebieg ciąży.

Emerytury

Wiek emerytalny to temat, który wielokrotnie w ostatnich latach rozgrzewał opinię publiczną. Rząd Donalda Tuska, podnosząc wiek emerytalny w 2013 roku, zrobił to nie tylko wobec protestów związkowców, ale także wbrew większości społeczeństwa. Dalsze lata pokazały, że Solidarność dopięła jednak swego. Dzięki zapisom w umowie programowej z 2015 roku z ówczesnym kandydatem na prezydenta Andrzejem Dudą, a także dzięki wieloletnim dążeniom samego Związku w 2017 roku przywrócono wiek emerytalny na poziomie 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn.

Prezydent Andrzej Duda podczas uroczystości w Pałacu Prezydenckim po podpisaniu ustawy przywracającej poprzedni wiek emerytalny podziękował Solidarności za „trwanie przy interesach Polaków".

Na mocy ubiegłorocznego porozumienia ze Stalowej Woli odwrócono także wygasający charakter emerytur pomostowych. Wcześniej na taką emeryturę mogły liczyć jedynie osoby, które przed 1 stycznia 1999 roku wykonywały pracę w szczególnych warunkach lub o szczególnym charakterze. Od początku 2024 roku obowiązują już wszystkich, którzy pracują w szczególnych warunkach i spełniają warunki zapisane w ustawie.

> SOLIDARNOŚĆ, KTÓRA W 1980 ROKU POSTULOWAŁA WOLNE SOBOTY, W PÓŹNIEJSZYCH LATACH WALCZYŁA O TO, BY PRACOWNICY MOGLI CIESZYĆ SIĘ WOLNYMI NIEDZIELAMI.

Wolne niedziele

Solidarność, która w 1980 roku postulowała wolne soboty, w późniejszych latach walczyła o to, by pracownicy mogli cieszyć się wolnymi niedzielami.

Pod postulatem Solidarności o ograniczeniu handlu w niedziele podpisało się ponad 500 tys. Polaków. We wrześniu 2016 roku obywatelski projekt ustawy z podpisami przekazano marszałkowi Sejmu Markowi Kuchcińskiemu. Dwa lata później – od 1 marca 2018 roku – weszła w życie ustawa, która stopniowo ograniczała handel w niedziele i oznaczała, że jego pracownicy wreszcie mogą cieszyć się wolnymi niedzielami. W 2022 roku weszła w życie nowelizacja ustawy, która uściślała ją po to, by nieuczciwe sieci handlowe nie mogły jej obchodzić.

Dialog społeczny

To Solidarność była inicjatorem powstania Rady Dialogu Społecznego, platformy pomiędzy stroną rządową, przedstawicielami związków zawodowych oraz pracodawców. Pierwszym przewodniczącym RDS-u został Piotr Duda. To na forum rady wielokrotnie dyskutowano, a także wypracowywano rozwiązania, z których korzystali następnie pracownicy.

Blokada

To Postulaty Sierpniowe wyznaczyły kierunek, w którym Solidarność działała przez ostatnie dziesięciolecia. Związek starał się i nadal stara się, by do końca je zrealizować oraz rozszerzyć w kierunku korzystnym dla pracowników. W ostatnich latach nader często osiągał on swoje cele.

Rządy się zmieniają, a Związek wciąż działa. Jeśli ma do tego odpowiednie warunki, jeśli władza dostrzega pracowników i chce wdrażać prospołeczne rozwiązania, wówczas Solidarność ma możliwość, by przeforsować swoje postulaty.

W ciągu ostatnich miesięcy jednak wszyscy przypomnieliśmy sobie, że wypracowywanie dobrych rozwiązań to nie jest oczywistość. W najbliższym czasie Związek raczej będzie musiał przede wszystkim bronić tego, co wcześniej wywalczył. Znów okazało się, że spisane 44 lata temu postulaty nie dla każdego są priorytetem. Znów słyszymy o pomysłach, by podnieść wiek emerytalny, i o tym, że minimalne wynagrodzenie jest zbyt wysokie lub że trzeba znieść ograniczenie handlu w niedziele. Z tymi pomysłami walczy Solidarność.

eprasa.pl 9fefc58b7b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Remigiusz Okraska

Ekologia dla bogatych

Najpierw to była „teoria spiskowa", rzecz jasna, „skrajnie prawicowa". A teraz Ministerstwo Klimatu i Środowiska oficjalnie mówi to samo.

Polska Agencja Prasowa doniosła: „Resort klimatu informuje, że konieczne będą osłony dla gospodarstw domowych. Chodzi o podwyżki, jakie szykują się po wdrożeniu systemu opłat ETS2 (opłat za emisje spalin). [...] Od 2027 r., tankując paliwo, ogrzewając dom czy nawet przekręcając kurek z gorącą wodą, będziemy mieć doliczane gigantyczne kwoty. [...] Z portfela wyparuje w rok nawet kilka tysięcy złotych. [...] Działania osłonowe w takiej sytuacji będą konieczne. Rząd chce sfinansować je ze Społecznego Funduszu Klimatycznego, z którego Polsce ma przypaść 50 mld zł. [...] Na pewno jedną trzecią całej kwoty, czyli maksimum tego, na co pozwalają zasady Funduszu, będziemy chcieli skierować właśnie na wsparcie potrzebujących".

Oczywiście zamożni nawet nie zauważą takich wydatków. Zwolennicy ekologii z klasy wyższej – też nie. Odczują biedacy z mizerną emeryturą. Z pensją minimalną. Z dojeżdżaniem starymi autami do pracy 60 czy 100 km. W starych domach, które są ich jedynym majątkiem.

Przed kilkoma laty pojawiły się przesłanki, że z ekologią jest coś nie tak. Gwiazdeczki muzyki, filmu czy sportu wsiadają w prywatne samoloty pod wpływem kaprysu. Randka, zakupy, cokolwiek – i emisja dwutlenku węgla taka jak twoja przez cały rok na wszystkie życiowe konieczności. Możni i wpływowi tego świata zarabiają kolejne miliardy na podkręcaniu najgłupszych marnotrawnych trendów. Ale przepraszać masz ty – za plastikową słomkę albo że do pracy dojeżdżasz autem w kraju, gdzie transport zbiorowy niszczono przez długie lata, bo był „nierentowny".

Prawie cała nowa ekologia polega na moralizowaniu i pohukiwaniu pod adresem niezamożnych. Gdy już nie da się udawać, że problemy ekologiczne nie istnieją, winą obarcza się skromnie żyjących ludzi. To ich kosztem będzie teraz robiona „transformacja". A przecież skoro „planeta płonie", niech jej gaszenie sfinansują miliarderzy, wielkie firmy, zamożne warstwy społeczeństwa. To oni ją podpalili lub mają z czego płacić. My nie mamy.

Będą „rekompensaty", tak mówi rząd. „Zapomniał" dodać, że jedna trzecia przewidzianych środków, czyli 17 miliardów, to grosze wobec skali problemu. Na mrożenie cen energii za PiS w 2023 roku wydano kilkadziesiąt miliardów. Znacznie mniejsza kwota ma starczyć kilka lat później na działania w sferze energii, ogrzewania, mieszkalnictwa, transportu itd.?

Wsparcie mają otrzymać najbiedniejsi. Jeśli tylko ciut wystajesz ponad poziom ubóstwa, nie dostaniesz nic lub dostaniesz niewiele. Czyli wobec wzrostu podstawowych kosztów życia – zbiedniejesz.

Albo ekologia będzie prospołeczna i dokonująca się kosztem interesów silnych, albo będzie elitarnym draństwem robionym przeciwko słabym. W takiej postaci zostanie odrzucona przez miliony ludzi. Nie dlatego, że są „ciemni" czy „skrajnie prawicowi". Dlatego, że będą się bronili przed jawną niesprawiedliwością.

eprasa.pl 9fefc58b7b

„Ludziom nie zabrakło odwagi”

– Całą odpowiedzialność w czasie strajku brałem na siebie, żeby nie narażać innych ludzi. Wiedziałem, że trudno jest o taką odwagę cywilną. Szybko się jednak okazało, że i ludziom tej odwagi nie zabrakło. To był fantastyczny moment. Strajk miał charakter okupacyjny, wszyscy przebywali razem i wzajemnie się wspierali, być może dlatego tej odwagi nie brakowało – wspomina **Andrzej Kołodziej**, opozycjonista i przywódca strajku w gdyńskiej Stoczni im. Komuny Paryskiej w Sierpniu ’80, w rozmowie z **Marcinem Krzeszowcem**.

– Cofnijmy się do 15 sierpnia 1980 roku. Stocznia im. Komuny Paryskiej była największym zakładem pracy w Gdyni i pierwszym, który dołączył do strajku. To był Pański drugi dzień w nowej pracy, bo wcześniej zwolniono Pana ze Stoczni Gdańskiej. Jak wyglądał ten dzień?

– Było to dla mnie niezwykłe wyzwanie. Noc z 14 na 15 sierpnia spędziłem w strajkującej już Stoczni Gdańskiej. Wyjechałem stamtąd ze zobowiązaniem

Fot. Forum

eprasa.pl 9fefc58b7b

próby zorganizowania strajku w Stoczni w Gdyni, choć nikogo tam nie znałem, bo dopiero zaczynałem pracę. Zabrałem ze sobą materiały opozycyjne, które miały mi pomóc w uwiarygodnieniu się wśród załogi. Zdawałem sobie sprawę, że jako młody chłopak, który dopiero zaczął pracę w zakładzie, nikomu nie jest znany i namawia do rewolucji, mogłem wyglądać na prowokatora. I pewnie wielu osobom na takiego wyglądałem.

Do Stoczni w Gdyni przyjechałem wcześnie rano, to było około godziny 6. Wszedłem wraz z pierwszymi robotnikami i zacząłem rozglądać się za ludźmi, którzy już podejmują pracę. Podchodziłem do nich i delikatnie mówiłem, że Stocznia Gdańska strajkuje, że w Gdyni też jest planowany strajk i że chcemy wesprzeć stoczniowców z Gdańska. Takimi namowami starałem się tworzyć atmosferę pod strajk. To zadanie ułatwiła mi poniekąd lokalna telewizja gdańska, która dzień wcześniej podała informację o wybuchu strajku w Stoczni Gdańskiej. Ludzie byli świadomi, czuli napięcie, panowała atmosfera wyczekiwania, co się dalej wydarzy.

Ta sytuacja była charakterystyczna dla Wybrzeża, bo było to zaledwie 10 lat po wydarzeniach Grudnia ’70. W czasie tamtej rewolty, gdy Stocznia Gdańska podjęła strajk, inne zakłady również do niej dołączyły. Ludzie spodziewali się, że teraz będzie podobnie.

– Do strajku przystąpiło kilka tysięcy stoczniowców z Gdyni. Musiał Pan ich specjalnie przekonywać, był jakiś koronny argument, który zainspirował załogę do strajku, czy ludzie byli tak wkurzeni na komunistów, że wystarczyła jedna iskra, by zakład stanął?

– Nie było to takie proste. Ludzie zbierali się przy swoich wydziałach i dyskutowali w grupach, nie spieszyli się do podjęcia pracy, wszyscy rozprawiali o tym, co się dzieje w Gdańsku. Potrzebny był im pewien impuls. W pewnym momencie zebrała się większa grupa ludzi, wyłączono prąd, a ludzie ruszyli w kierunku dyrekcji. Kierownicy wydziałów i władz partii chcieli ich zatrzymać i namówić na rozmowę w stołówce. Ja wtedy się włączyłem i powiedziałem, że nie można się na to zgodzić i dać się zamknąć w jakimś pomieszczeniu, a do rozmów z władzami stoczni trzeba się przygotować. Wówczas przedstawiłem się ludziom, powiedziałem, że jestem działaczem Wolnych Związków Zawodowych, że przyjechałem ze Stoczni Gdańskiej i że mam ze sobą materiały i ulotki. Ci ludzie – początkowo milcząco – poszli za mną na największy plac Stoczni. Tam rozpocząłem wiec i tłumaczyłem im, jak ma wyglądać strajk i jak się do niego przygotować.

W gdyńskiej Stoczni pracowało wtedy 11 tys. osób. Liczyłem na to, że wśród załogi znajdą się doświadczeni pracownicy, dobrze znani stoczniowcom, którzy pomogą mi w przeprowadzeniu tego strajku. Niestety, okazało się, że presja roku ’70 była zbyt przytłaczająca. Wynikało to z tego, że to właśnie w Gdyni władze komunistyczne dokonały największej masakry na ludziach zmierzających do pracy. To była zemsta za zdobycie komitetu partii w Gdańsku w 1970 roku. Ludzie się bali, że wyjdą na miasto i ten Grudzień może się powtórzyć. Uspokoili się dopiero, gdy im powiedzieliśmy, że planujemy strajk okupacyjny i nie wyjdziemy poza bramy zakładu.

Początki były zatem dosyć trudne i żeby ten strajk zorganizować, musiałem ściągnąć swoich kolegów z Wolnych Związków Zawodowych. Pamiętam też, że zgłosiła się do mnie grupa około 20 młodych stoczniowców, którzy pomogli mi organizacyjnie, ponieważ nie znałem nawet topografii Stoczni. Załatwili mi wtedy megafon, poinformowali, że na terenie zakładu jest drukarnia i radiowęzeł...

– Właśnie, radiowęzeł! Jak udało się stoczniowcom zająć to strategiczne miejsce, a później rozwinąć własną komunikację, czyli pocztę strajkową?

– Przemawiając permanentnie do kilku tysięcy ludzi na placu, zacząłem w końcu tracić głos. Stoczniowcy mi podpowiedzieli, że jest tutaj radiowęzeł, więc natychmiast zażądałem od dyrektora, żeby nam go udostępnił. Dyrektor odmówił, ale Stocznia to zakład zatrudniający ślusarzy, więc dla nas to nie był problem. Zagroziliśmy, że sami sobie otworzymy drzwi. Obyło się jednak bez tego, bo ekipa radiowęzła, która siedziała wewnątrz, sama

NAJWAŻNIEJSZE BYŁO UTWORZENIE NIEZALEŻNEJ REPREZENTACJI LUDZI PRACY. DLATEGO W GDYŃSKIEJ STOCZNI PIERWSZYM POSTULATEM BYŁO ŻĄDANIE UTWORZENIA NIEZALEŻNYCH OD WŁADZY WOLNYCH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH.

eprasa.pl 9fefc58b7b

nam otworzyła i pomogła w obsłudze sprzętu. Dostałem wtedy mikrofon, co było dużym ułatwieniem, bo radiowęzeł działał na terenie całej Stoczni, nie tylko na placu.

Ślusarze przydali się później, gdy chcieliśmy przejąć drukarnię. Dyrektor nie wydał nam oczywiście kluczy, więc stoczniowcy otworzyli drzwi sami. Sprowadziliśmy zawodowego drukarza, który uruchomił maszyny, i już kolejnego dnia po południu wydaliśmy pierwsze drukowane komunikaty o strajku. Pierwsza była informacja o utworzeniu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego.

– Strajkujący zawsze mają swoje żądania. Podobno aż 15 z 21 postulatów gdańskiego MKS powstało w Stoczni w Gdyni. W jaki sposób załoga je akceptowała?

– To działo się na placu głównym Stoczni. Wraz z moim kolegą śp. Andrzejem Dudkiewiczem, z którym drukowałem „Robotnika Wybrzeża", napisaliśmy postulaty, później przedstawialiśmy je załodze, tłumaczyliśmy, dlaczego są ważne, i poddawaliśmy je pod głosowanie. To była demokracja bezpośrednia. Z całą załogą uchwalaliśmy kolejne postulaty, które miały się znaleźć na naszej liście. Ludzie podnosili ręce i wyrażali swoje poparcie okrzykiem. To były trudne postulaty, bo po raz pierwszy miały charakter polityczny.

Ja wywodziłem się z grona Wolnych Związków Zawodowych i dla nas najważniejsze było utworzenie niezależnej reprezentacji ludzi pracy. Dlatego w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni jako pierwszy pojawił się właśnie ten postulat polityczny, a więc żądanie utworzenia niezależnych od władzy wolnych związków zawodowych. Ten punkt dopiero później pojawił się na liście 21 postulatów MKS. Chcieliśmy też zwolnienia więźniów politycznych czy zniesienia cenzury. Z naszej Stoczni wyszło łącznie 17 postulatów, które były przeplatane żądaniami ekonomicznymi i które miały rozwiązać bolączki pracowników. Lista gdyńskich postulatów była najbardziej ogólna, nie dotyczyła rękawic roboczych czy lepszych butów, ale wszystkich pracowników, i tak się stało, że stanowiła trzon 21 postulatów MKS.

Pamiętam, że latał nad nami wtedy śmigłowiec i zrzucał ulotki o takiej treści, że prowokator na terenie Stoczni namawia do rewolty politycznej przeciwko legalnym władzom. Ja dążyłem do tego, żeby ludzie czuli się związani z tymi postulatami i uznali je za własne. Tłumaczyłem, że nie są teraz ważne podwyżki, ale własna reprezentacja, która nam je zagwarantuje, gdy strajk się skończy. Przecież władza pod presją może obiecać wszystko, a potem się z tego nie wywiązać.

– Jaka była Pana reakcja na wiadomość, że 16 sierpnia Lech Wałęsa podpisał porozumienie z dyrekcją i ogłosił zakończenie strajku w Stoczni Gdańskiej?

– Byłem niesamowicie wściekły i moje pierwsze słowa były jednoznaczne, że nas zdradził, że jest zdrajcą. Dwa dni wcześniej, 14 sierpnia, byłem w Stoczni Gdańskiej i między innymi z Lechem Wałęsą ustalałem, że podejmiemy strajk w innych zakładach, utworzymy wspólny Komitet Strajkowy i będziemy negocjować porozumienie dla wszystkich.

15 sierpnia wysłałem delegację do Lecha Wałęsy z komunikatem, że podjęliśmy strajk i chcemy zrealizować to, co wspólnie zaplanowaliśmy. Niestety Lech Wałęsa odmówił.

To był piątek, a w sobotę już podpisał porozumienie. Byłem wściekły, ale miałem za sobą ludzi, za których czułem się odpowiedzialny.

Poza Stocznią w Gdyni strajk podjęły też inne zakłady pracy, których delegacje przyjechały do nas z pytaniem: „Co dalej?". Wtedy podjęliśmy decyzję, że stworzymy własny Międzyzakłado-

WAŁĘSA TĄ ZDRADĄ PODCIĄŁ LUDZIOM SKRZYDŁA I JUŻ NA SAMYM WSTĘPIE ZACHWIAŁ ICH WIARĘ W SOLIDARNOŚĆ I JEDNOŚĆ.

WPADLIŚMY NA POMYSŁ, ŻEBY ZAPROSIĆ KS. JASTAKA DO ODPRAWIENIA W NIEDZIELĘ MSZY ŚWIĘTEJ. GDY TO OGŁOSIŁEM, TO W LUDZI JAKBY WSTĄPIŁA NOWA ENERGIA, NOWY DUCH.

eprasa.pl 9fefc58b7b

wy Komitet Strajkowy i będziemy dalej strajkować.

Musiałem się bardzo postarać, żeby ludziom to wytłumaczyć i ich do tego przekonać. To był bardzo kryzysowy moment. Wałęsa tą zdradą podciął ludziom skrzydła i już na samym wstępie zachwiał ich wiarę w solidarność i jedność.

Udało nam się jednak przez to przejść, a bardzo dużą rolę odegrał w tym ksiądz prałat Hilary Jastak. Był on bardzo poważany zarówno w Gdyni, jak i szerzej wśród Kaszubów. Wpadliśmy na pomysł, żeby zaprosić księdza do odprawienia następnego dnia w niedzielę Mszy Świętej. Gdy to ogłosiłem, to w ludzi jakby wstąpiła nowa energia, nowy duch. Zapomnieli o tym kryzysie, a najważniejsze stało się dla nich przygotowanie Stoczni do godnego przyjęcia kapłana i odprawienia nabożeństwa. Stała się rzecz fantastyczna, bo ludzie odzyskali wiarę, wzajemną siłę i ten kryzys minął.

– Właśnie o tę kwestię chciałem zapytać. Jak Kościół katolicki i środowiska artystyczne wspierały stoczniowców?

– Codziennie po południu o godz. 17 była na terenie Stoczni w Gdyni odprawiana Msza Święta. W niedzielę była to suma o godz. 11. Aktorzy również bywali u nas codziennie i to już od pierwszych dni strajku.

Artysta z Teatru Dramatycznego w Gdyni Szymon Pawlicki zorganizował wówczas grupę aktorów, którzy naprędce przygotowali program patriotyczny. Przychodzili do naszej Stoczni, aby ten czas strajku wypełnić czymś pozytywnym.

– Gdy wybuchły sierpniowe strajki miał Pan zaledwie 21 lat. Młody człowiek jest pełen zapału, skory do buntu, nie myśli zbyt wiele o konsekwencjach, daje się nieść chwili. Te cechy opisywały wtedy również Pana?

– Byłem, co prawda, młody, ale byłem też po wielu przejściach – po aresztowaniach przez Służbę Bezpieczeństwa, wyrzuceniu z Technikum Budowy Okrętów, z pracy z przyczyn politycznych i od dwóch lat działałem w Komitecie Założycielskim WZZ. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, jakie konsekwencje mi grożą. Nie było to lekkomyślne, całą odpowiedzialność w czasie strajku brałem na siebie, żeby nie narażać innych ludzi. Wiedziałem, że trudno jest o taką odwagę cywilną. Szybko się jednak okazało, że i ludziom tej odwagi nie zabrakło. To był fantastyczny moment. Strajk miał charakter okupacyjny, wszyscy przebywali razem i wzajemnie się wspierali i być może dlatego tej odwagi nie brakowało. Było wtedy jeszcze sporo ludzi, którzy pamiętali II Rzeczpospolitą, tę inną Polskę, i po tych latach ciemiężenia przez komunizm mieli tego dosyć. Po prostu wszyscy byli tym jednakowo zmęczeni i chcieli jakiejś zmiany.

W SIERPNIU ’80 BYŁO JESZCZE SPORO LUDZI, KTÓRZY PAMIĘTALI II RP, I PO TYCH LATACH CIEMIĘŻENIA PRZEZ KOMUNIZM MIELI DOSYĆ. WSZYSCY BYLI TYM JEDNAKOWO ZMĘCZENI I CHCIELI JAKIEJŚ ZMIANY.

– Jako jeden z czołowych przedstawicieli opozycji antykomunistycznej, a już szczególnie jako twarz „S” Walczącej, był Pan nieustannie obiektem zainteresowania służb PRL. W jaki sposób komuniści zwalczali Pana działalność już po zakończeniu strajku?

– To była permanentna inwigilacja, zresztą nie dotyczyła tylko mnie, ale również wszystkich moich znajomych i rodziny. Jeśli dobrze pamiętam, to Służba Bezpieczeństwa prowadziła przeciwko mnie około 18–20 spraw do 1989 roku za różne działania: za kierowanie organizacją, niezależne wydawnictwa, działalność w Solidarności Walczącej i inne rzeczy. Musiałem też trochę odsiedzieć, bo zostałem aresztowany dwa miesiące przed stanem wojennym w czeskiej Pradze. Tam przesiedziałem w więzieniu prawie dwa lata. Później w kwietniu 1988 roku po aresztowaniu zostałem wraz z Kornelem Morawieckim wydalony z Polski.

Andrzej Kołodziej, działacz Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, lider strajku w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, sygnatariusz Porozumień Sierpniowych. Drukował i kolportował prasę podziemną, był współzałożycielem Solidarności Walczącej (Oddział Trójmiasto) i przewodniczącym Komitetu Wykonawczego Solidarności Walczącej. Honorowy Obywatel Miasta Gdyni, Gdańska i Zagórza, odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyżem Wolności i Solidarności. Prezes Fundacji Pomorska Inicjatywa Historyczna i przewodniczący Rady Instytutu Dziedzictwa Solidarności.

eprasa.pl 9fefc58b7b

Rycerz w spódnicy

Odświeżam sobie losy Anny Walentynowicz – w moim przeświadczeniu **głównej bohaterki** Porozumień Sierpniowych. Nie te spisane przez hagiograficznych biografów, lecz te wyrażone przez nią samą. W prostych słowach, bez pudru i zawiłości historycznych.

Marcin Darmas

Fot. Wikimedia Commons

Była Wołynianką, której ojciec poszedł na front, brata w czasie wojny wywieźli w nieznanym kierunku, a matce ze zgryzot serce pękło. Mała Anna musiała radzić sobie sama. „Inny", a przez „Innego" Nieskończony, przyszli do niej później, niespodziewanie w głębokiej otchłani rozpaczy i beznadziei. Obietnica spokojnej przystani i solidarnego dialogu nie padły na skalisty grunt.

W losach Walentynowicz zawarty jest znaczący kęs ostatnich dziejów kraju. Sens jej istnienia odsłania blaski i nędze, mówiąc górnolotnie, predestynacji kraju. Skazanego z jednej strony na rozdarcia i tragiczne wybory, brak porozumienia i namysłu, a z drugiej obdarzonego nadzieją, wiarą w ludzi i Boga. Bez „Innego" bowiem, stosując aparat filozoficzny Emmanuela Lévinasa, bez podjęcia dialogu z jego anonimową „twarzą", obietnica pojednania – od czasu do czasu zapowiadana nawet dziś przez najważniejszego w Polsce polityka – nie spełni się.

Po wojnie przygarnęli Annę Walentynowicz obcy ludzie, tułała się po wsiach, „latem do żniw, jesienią do sprzedawania noży kuchennych", a zimą do pędzenia wódki. Nie dajmy się zwieść mizerabilistycznym uwerturom. Jej życie nie było tylko szukaniem schronienia i pożywienia, lecz rozpaczliwą próbą nawiązania porozumienia, wyjścia jako człowiek do drugiego człowieka. Mogła liczyć na siebie, na łut szczęścia i – właśnie – na innych. Właściwie na Lévinasowskiego „Innego", w którym odbija się w mistycznym blasku twarz Nieskończonego.

Dziwili się i Jadwiga Staniszkis, i ks. Józef Tischner, że wydarzenia

Część muralu „Kobiety Wolności" na filarze pod peronem stacji PKM Gdańsk-Strzyża

eprasa.pl 9fefc58b7b

sierpniowe – choć zainicjowane bezpośrednio przez zapowiadaną podwyżkę cen mięs i zwolnienie ze stoczni Anny Walentynowicz – były, czyniąc hermeneutyczną genealogię, eksplozją pragnienia godności i uznania owej godności. Jeszcze bardziej zdziwieni tym byli badający Solidarność socjolodzy skupieni wokół Alaina Touraine'a. Przecierali oczy ze zdumienia, jak na wartościach poza-racjonalnych, abstrakcyjnych i bądź co bądź wysublimowanych, takich jak duma, prawda, honor czy subsydiarność, został zainicjowany ruch robotniczy. Stoczniowcy z przekonaniem opowiadali francuskim badaczom o kwestiach odległych od prozy życia. Bez twardego kośćca zasad tożsamość ludzka się rozpada. Anna nie czytała, a operowała, właściwie wprowadzała w życie kategorie moralne: – Ja do szkoły nie chodziłam, tyle co przed wojną, skończyłam wtedy cztery klasy, choć w papierach podaję, że siedem – zwierzała się Hannie Krall w reportażu „Ludzie może i nie są źli...".

Zanim została spawaczem w stoczni, Anna Walentynowicz robiła przy kurach i krowach. Podczas Wigilii nie miała z kim podzielić się opłatkiem, poszła więc do stodoły i tam wieczerzę Bożego Narodzenia spędziła z klaczą: „Złożyłam jej życzenia, a Złotka zarżała". Jej wczesne życie okazało się ponurą baśnią. Zaczęła myśleć o samobójstwie: – Wyrabiali z padłego bydlęcia mydło i wiedziałam, jak soda kaustyczna rozpuszcza wszystkie kosteczki. Byłoby dobrze trochę tej sody zdobyć, ale skąd? – opowiadała. Na szczęście nie zdobyła, więc poszła dalej, poszukać „Innego". – Ilu ja dobrych ludzi spotkałam w życiu – kontynuowała swoją spowiedź – Tych, co mi pozwolili białe bułki jeść, i tych, co mi dali za darmo suterynę, i co dali piecyk, żebym sobie do suteryny wstawiła – bardzo dobry jest taki piecyk na odmrożenie, tylko trzeba najpierw nasmarować ciało naftą i grzać przy otwartym ogniu, żeby nafta wyparowała – ale najważniejszy był jeden pan, który powiedział – nie siedź tutaj tak. Idź do stoczni, nauczysz się i staniesz się człowiekiem.

Anna Walentynowicz niczym Abraham poszła z obietnicą w sercu – „staniesz się człowiekiem", „znajdziesz swoje miejsce". Ciąg dalszy znamy z podręczników historii: kurs i zdany egzamin na spawacza, wstawiennictwo Matki Boskiej Ostrobramskiej, rak („jeśli Pan Bóg darował mi życie, to po to przecież, żebym coś mądrego zrobiła"), ciężka praca, zwolnienie 14 sierpnia 1980, internowanie, tryumf Solidarności, zdrady najbliższych przyjaciół i Smoleńsk...

ANNA WALENTYNOWICZ NICZYM ABRAHAM POSZŁA Z OBIETNICĄ W SERCU – „STANIESZ SIĘ CZŁOWIEKIEM", „ZNAJDZIESZ SWOJE MIEJSCE".

Paralela z dialogicznym namysłem Lévinasa nad ludzką dolą i niedolą nasuwa się sama. Walentynowicz, choć nie miała szkół i stanowiła książkowy przypadek proletariuszki, stosując marksowską nomenklaturę, pojęła i – co więcej – stosowała w praktyce spotkanie z „Innym" i poprzez jego twarz – z Nieskończonym. Znów fragment rozmowy z Hanną Krall po grudniowych wydarzeniach: – Pomagałam wtedy dwóm kobietom, pani Lodzi, sparaliżowanej od dwudziestu lat, z gośćcem postępującym, i pani Alicji, osiemdziesięcioletniej staruszce bez rodziny. Matkę Teresę z Kalkuty pytano kiedyś, co może dać człowiekowi na pół godziny przed śmiercią. Opowiedziała: „Wiarę, że człowiek nie jest zupełnie sam".

U Walentynowicz na widok bliźniego odżywało jedyne wspomnienie, jakie się liczy, z człowiekiem, który powiedział jej o stoczni. Przez „Innego", w dialogu, trosce, zrozumieniu i uznaniu, stała się „kimś".

Aby jednak doszło do Lévinasowskiego spotkania, musi istnieć jakaś samotność. Samotność przepojona bólem i tęsknotą. Nie ratuje jej żadne uczestnictwo w liczbie, we władzy, w bycie. Tę podstawową kategorię filozoficzną Lévinas nazywa „separacją", czyli „radykalną niemożliwością widzenia siebie i mówienia o sobie w takim sensie jak o innych." Człowiek samotny, bez perspektywy „Innego", staje się bliski przestraszonemu zwierzęciu, jego byt opiera się na zmysłowości, jak pisze francuski filozof. Poszukuje doznań, bywa stale „nienasycony" i „głodny". Nieustannie pochłania przeżycia, wrażenia, świat. Brak „Innego" w owej krępującej „separacji" prowadzi do ateizmu. Bowiem ateizm, pisze Lévinas, jest zupełną separacją, w której „oddzielony byt podtrzymuje się w istnieniu zupełnie sam, nie partycypując w Bycie", od którego jest oddzielony. „Żyje poza Bogiem, u siebie, jest się sobą, egoizmem."

Pytana o to, czy ludzie są źli, Walentynowicz opowiada w kontekście wydarzeń sierpniowych:

eprasa.pl 9fefc58b7b

– Kiedy wybuchnął strajk, zaczęły się dziać z ludźmi jakieś dziwne rzeczy. Ludzie zrobili się dobrzy. Od razu, w ciągu jednego dnia. I dalej: – Wszyscy mnie przepraszają teraz i wszyscy są dla mnie bardzo mili i dobrzy. Strażnicy, którzy wykręcali mi ręce, mówią – dzień dobry, pani Aniu – i nawet przepustki nie chcą sprawdzić. – Anna chwilę się zastanawiała, co odpowiedzieć swojej interlokutorce, by w końcu skwitować lapidarnie: – Także – ja przypuszczam – ludzie może i nie są źli, tylko bardzo się boją.

Komunizm miał być zwycięstwem „prostego człowieka", zespoleniem się wszystkich warstw i stanów w jednej tryumfującej i panującej klasie, lecz jak poucza ks. Józef Tischner, „nie tylko nie rozwiązał zagadnienia wyzysku, ale również stał się źródłem nowych form wyzysku człowieka przez człowieka". Losy Anny Walentynowicz pokazują nam również, że wyzysk ten był bardziej wyzyskiem moralnym aniżeli ekonomicznym. Marksizm mógł wsiąknąć w jej świadomość społeczną. Miała ku temu wszelkie, by tak rzec, zadatki. Skrzywdzona, poniżona i wyalienowana od „środków produkcji", mógł ją zatem swobodnie kształtować imperatyw konsekwentnej walki o wyzwolenie ludzkiej pracy spod jarzma wyzysku. Była jednak uodporniona na „filozofię ludzkiej pracy". Marksowskie „wyobcowanie", czyli sytuacja, w której człowiek znajduje się „poza swą istotą" i staje się „obcy samemu sobie", nie imała się Walentynowicz. Nim nadeszła jej śmierć w smoleńskim lesie, nie udało się nikomu – nawet esbecji – wpędzić jej do degradującej „cielesności mięsa".

Na marginesie naszych rozważań o życiu Anny Walentynowicz i o Porozumieniach Sierpniowych plączą się wątki związane z ludzką godnością i dialogicznością.

Po pierwsze, marksizm jest doktryną materialistyczną. To banalna konstatacja. Niemniej staje się ona istotna dla zrozumienia i rozkwitu ruchu solidarnościowego w klasie robotniczej. Marksizm, później Leninizm i kolejne przepoczwarzenia myśli socjalistycznej, abstrahują od kwestii dla człowieka fundamentalnych, takich jak poczucie dumy i honoru. W ich optyce są to przeżytki burżuazyjnych ideologii. Na gruncie polskim okazały się to kwestie mające moc niemal magiczną. Moc przeobrażania rzeczywistości społecznej. Rodowód Solidarności, która obaliła komunizm, również trzeba klasyfikować jako porządek romantyczny (wbrew zapowiedziom Marii Janion o końcu „paradygmatu romantycznego" ogłoszonym w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku). Poeci śpiewali wówczas dla gminu, wybitne jednostki ratowały Ojczyznę, Kościół odgrywał rolę Mesjasza. Reszty dopełnił pielgrzym Jan Paweł II z zaklęciem o duchu, który ma odnowić oblicze „tej ziemi".

DZIĘKI NIEJ PĘKŁY SOCJALISTYCZNE FASADY. JEJ DOBRO I GODNOŚĆ MIAŁY MOC DEMASKUJĄCĄ.

Po drugie, w krwiobiegu i Walentynowicz, i Solidarności płynął duch rycerskości. Znów w przekonaniu marksistów dawno wytępionej. Czymże jest etos rycerski? Jest to zespół typowych zachowań moralnych – takich jak hołdowanie wartościom pozaracjonalnym jak wierność, godność i honor – związanych z konkretną grupą społeczną. Przez długi czas obowiązywał warstwę rycerską, bowiem swój intensywny rozkwit przeżywał w czasach średniowiecza. Z czasem etos zaczął się demokratyzować. Stopniowo herosi działający według jego reguł stali się wzorem dla szerokich mas. W Polsce był niezwykle żywotny ze względu na uwarunkowania historyczne, a także za sprawą literatury – choćby Josepha Conrada.

Bohaterowie kultury europejskiej, którzy ginęli w imię „rycerskości", są z dzisiejszej perspektywy uznawani za szaleńców. Czemu Roland odmówił wezwania pomocy Karola Wielkiego w walce z Saracenami? Ginie, nie wzywając posiłków, gdyż taki gest byłby niehonorowy. Czemu Grecy ery klasycznej odmawiali używania łuku? Bowiem życie utrzymane za pomocą „wybiegów" jest niegodne obywatela Hellas. Więcej, tego rodzaju zachowania mogą przynieść nieoczekiwane korzyści. Są jak zakład Pascala: albo nieoczekiwana chwała, albo szarość doczesności. Etos nakazuje podjęcie największego ryzyka, bez względu na konsekwencje.

W życiu Anny Walentynowicz zaskakuje głęboko przeświadczenie, że jej walka miała charakter najwyższego imperatywu etycznego. Nie chodziło o mięso, pracę, ale o to, by ludzie mogli chodzić wyprostowani i by mogli znaleźć w sobie oblicze „Innego". Rozwiewała tym samym mgłę słodkawych frazesów partyjnych. Dzięki niej pękły socjalistyczne fasady. Jej dobro i godność miały moc demaskującą.

I tak prosta, stoczniowa spawaczka okazała się najwierniejszym i najgodniejszym rycerzem.

eprasa.pl 9fefc58b7b

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Cnoty niewieście naszego boksu kochanego

Jan Wróbel

Prawicowy stosunek do sławetnej rywalki Julii Szeremety nie jest dobrze przemyślany. Złota mistrzyni nie jest mężczyzną, który zadeklarował się jako kobieta i wskutek obłędu władz sportowych udaje kobietę. Jest kobietą. Od urodzenia. Jej płeć biologiczna jest jasno zdefiniowana tak właśnie, jak chcą tego konserwatyści walczący z progresistami. Ci ostatni pławią się w rojeniach o płynnej tożsamości wynikającej z deklaracji. I to nie był przypadek Lin Yu-ting.

Rozwiązaniem poważnego etycznego dylematu, który poddaje w wątpliwość słuszność udziału zawodniczek o wysokim poziomie testosteronu (co ma fundamentalne skutki dla rozwoju mięśni, dynamiki itp.) w damskich zawodach sportowych, nie jest wzmożenie w sprawie transgresji – bo o transgresji nie było tu mowy. Płeć biologiczna jest jasna – niejasność dotyczy, by tak powiedzieć, „płci sportowej". Prawica, logicznie idąc za swoimi emocjami, powinna teraz żądać, by jednak płci było więcej niż banalne dwie. Na pewno nie powinna wobec kobiety o podwyższonej dawce testosteronu wytaczać dział „biologia versus lewica", bo strzela do siebie.

Bywa, że konserwatyzm sprowadza się do nostalgicznego pomrukiwania, że „ma być normalnie". Niestety, normy z przeszłości mają to do siebie, że były i już ich nie będzie. Zabiegać warto, by to, co sprawdzone w przeszłości, zachowało się na zawsze. Nie warto się natomiast czarować, że kiedyś, w jakieś baśniowej przyszłości, „wszystko wróci do normalności", bo czary nie zadziałają. Przed laty byłem na jakiejś słusznej prawicowej konferencji, podczas której szczególnie serdeczne oklaski dostał mówca nawołujący do („oby jak najszybszego") powrotu do mieszkającej razem rodziny wielopokoleniowej. Żeby nikt się nie poczuł urażony, podkreślę: idea (a często i praktyka) fajna. W czasach powszechnej atomizacji i uciekania naszych dzieci w wirtualny świat fajniejsza nawet niż dwie dekady temu.

Powiedzmy sobie jednak szczerze, że mówimy częściej o marzeniach niż o rzeczywistości. Pomijając wszystko inne, który dom w Polsce będzie funkcjonalny wypełniając się dziećmi, żoną, jej rodzicami, żoną z pierwszego małżeństwa z naszymi dziećmi oraz jej partnerką, która przyjedzie ze swoją mamą etc., etc. Życie współczesnego człowieka, w tym konserwatysty, układa się różnie – nie zawsze zgodnie z marzeniami.

Piękny przykład, jak wszystko płynie: nastawienie prawicy do boksu. Zmierzmy się z tym – polska prawica pokochała boks kobiet! Drwiny, że „babski"? A skąd! Łapanie się za głowę, że płeć piękna ładuje ile sił w twarz rywalki, po drodze zakładając szwy na przeciętym łuku brwiowym? A gdzieżby! Wystarczyło, aby nasza Julka zderzyła się w ringu z zawodniczką niesłuszną ideologicznie. I od razu mamy bohaterkę walki z gender, woke, trans i w ogóle. Pani Julia zresztą, no każdy to przyzna, jest dzielna i kochana. Wiwaty pod jej adresem są zasłużone.

ZMIERZMY SIĘ Z TYM – POLSKA PRAWICA POKOCHAŁA BOKS KOBIET! DRWINY, ŻE „BABSKI"? A SKĄD, A GDZIEŻBY...

Po prostu może nieco rozbawiać fakt, że w pierwszym szeregu wiwatujących starają się stanąć i ci, którzy z rozmarzeniem plotą o cnotach niewieścich. Nie boją się, że niewiasta przypudruje im nosek?

eprasa.pl 9fefc58b7b

„Biała pod treflami”

Solidarność to nie tylko wielkie nazwiska. To także – a może **przede wszystkim** – miliony „zwykłych” – a przecież niezwykłych w swojej odwadze i poświęceniu – ludzi, których działania złożyły się na historyczny sukces obalenia przez Polskę komunizmu.

Agnieszka Żurek

Jedną z takich osób jest Hanna Starzyńska, „Biała pod treflami” (taki pseudonim nadała jej bezpieka), której piękną i niełatwą historię życia odpowiada w swojej fabularyzowanej książce Martyna Werra.

„Przygotowujemy strajk”

„Mojej babci Eugenii Werrze, przewodniczącej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w Narodowym Banku Polskim, a także wszystkim szeregowym działaczom Solidarności i Solidarności Walczącej, którzy nie zrobili wielkich karier, ich nazwiska nie zapisały się w zbiorowej świadomości, ale którzy byli ważną częścią lawiny, która ruszyła z posad PRL, a nawet całą Europę Środkowo-Wschodnią, dzięki czemu moje pokolenie miało szansę dorosnąć w dobrych – a w każdym razie lepszych – czasach” – pisze w przedmowie do swojej książki autorka.

Jak potoczyłyby się losy Polski, gdyby w decydującym momencie strajku w Stoczni Gdańskiej, kiedy Lech Wałęsa ogłosił jego zakończenie, trzy odważne kobiety – Anna Walentynowicz, Alina Pienkowska i Ewa Ossowska nie zamknęły bram zakładu i nie przekonały robotników do pozostania na jego terenie? Co by się stało, gdyby w tym samym momencie Andrzej Gwiazda nie ruszył do mniejszych zakładów, w których rozpoczęły się strajki, z informacją, że „Elmor” bierze na siebie główny ciężar gniewu władzy i ślubuje nie zdradzić strajku? Być może nie doszłoby do podpisania Porozumień Sierpniowych, a jeśli nawet – zapewne miałyby one inny kształt niż ten, który udało się wówczas wynegocjować. Sierpniowy strajk uratowała w decydującym momencie odwaga kilku osób, jednak na nic by się ona nie zdała, gdyby za tymi ludźmi nie stanęły rzesze innych – a w pewnym momencie niemal całe społeczeństwo. – Wiedzieliśmy, że nasz ruch musi mieć charakter ogólnospołeczny, że inaczej nie pokonamy komunistów – mówi w bieżącym numerze „Tygodnika Solidarność” Andrzej Gwiazda.

„– Przygotowujemy strajk – powiedział Aleksander. – Gdzie? – Tu, u nas, w Stoczni imienia Lenina. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Przecież poprzedni strajk, dziesięć lat temu, skończył się tragicznie. Byli zabici i ranni. Czy jest sens to powtarzać? Aleksander zdawał się nie podzielać jej obaw. – Teraz będzie inaczej – mówił stanowczo. Nie wyjdziemy na ulice, tylko będziemy siedzieć w stoczni. To się nazywa strajk okupacyjny. Mamy wszystko starannie przygotowane. Zresztą Świdnik i Lublin już nas wyprzedziły. – Macie wszystko przygotowane? Kto konkretnie wam przewodzi? – Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża. […] Chociaż siedzący w stoczni ludzie nie byli narażeni na postrzały, stan długotrwałego stresu powodował u wielu strajkujących różne problemy zdrowotne, więc zakładowy szpital miał pełne ręce roboty. […] Hania nie wyobrażała sobie, że mogłaby spędzić czas strajku we własnym mieszkaniu. Chodziła po terenie stoczni, wszystko obserwowała, rozmawiała z ludźmi. Aleksander przedstawił ją grupie młodych ludzi zajmujących się drukowaniem ulo-

„BIAŁA POD TREFLAMI” TO OPOWIEŚĆ O TYM, ŻE CENA WALKI O WOLNOŚĆ JEST REALNA I WYSOKA. I O TYM, ŻE MIMO WSZYSTKO WARTO JEST JĄ ZAPŁACIĆ.

eprasa.pl 9fefc58b7b

tek. W krótkim czasie sama zasiliła szeregi drukarzy. Polubiła robotę przy ulotkach, podobał jej się zapał młodych ludzi i ich zaangażowanie" – tak gdański sierpień 1980 roku opisuje Martyna Werra na kartach „Białej pod treflami".

Cena wolności

Autorka zamieszcza w książce także wypowiedzi dawnych opozycjonistów na temat wiarygodności przedstawionej przez siebie historii. Wiele z nich jest wstrząsających i przypomina o cenie polskiej niepodległości. „Ode mnie z «Grupy Dym» Sławek Adamski nie żyje. Zabili go nieznani sprawcy; zatłukli go, jak pojechał do rodziny. Próbowali też wrzucić nas do kanału Raduni. Byłem bity, pałowany, przesłuchiwany przez bezpiekę, chcieli mnie wyrzucić z Polski. Kto mi oberwał nerkę? Kto mi wybił zęby? Znęcali się nade mną; przesłuchania były drastyczne i nikt nie może temu zaprzeczyć. Przy zatrzymaniu człowiek najpierw «dostał», a potem dopiero zjawiał się dobry milicjant. [...] Mieli się obchodzić z takim elementem tak delikatnie, jak z Wałęsą w Arłamowie? Może jeszcze wódkę postawić?" – pyta Zbigniew Stefański, stoczniowiec, bard i opozycjonista z lat 80.

„Biała pod treflami" nie lukruje rzeczywistości i nie unika trudnej prawdy o układzie Lecha Wałęsy z komunistami, o tym, jaki kształt przybrało polskie życie polityczne już po odzyskaniu niepodległości, o obaleniu rządu premiera Jana Olszewskiego, o układzie części „patriotycznych elit" z dawnymi komunistami, ale także o tym, że spora część dawnych działaczy Solidarności pozostała wierna tej idei już na całe życie i zdołała przekazać ją innym. Fabularyzowana, ale przedstawiająca fakty historia życia Hanny Starzyńskiej, działaczki antykomunistycznego podziemia niepodległościowego, opisuje nie tylko „momenty chwały", uroczyste chwile składania przysięgi na wierność Ojczyźnie, radość z poczucia wspólnoty i uczestnictwa w wielkiej sprawie, ale także szarą i niebezpieczną codzienność, stres związany z podejmowanym ryzykiem, podsłuchy, donosy, trudne wybory, choroby, niepewność jutra, rozpad rodzin... „Biała pod treflami" to opowieść o tym, że cena walki o wolność jest realna i wysoka. I o tym, że mimo wszystko warto jest ją zapłacić.

eprasa.pl 9fefc58b7b

Lewicy polskiej rachunek SUMIENIA

– Lewica straciła głosy klasy ludowej z wielu powodów. Pierwszym jest brak własnych mediów. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby lewica dorobiła się własnej TV Republika. Następnie są błędy u władzy w latach 2001–2005. Opisując szoki ekonomiczne w Polsce, zapominamy o szoku milenium, gdy Polska wchodziła do UE – mówi dr **Bartosz Rydliński** z Centrum im. Ignacego Daszyńskiego w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

Fot. arch. Bartosza Rydlińskiego

eprasa.pl 9fefc58b7b

– Opracował Pan raport „Separacja czy rozwód? Klasa ludowa i socjaldemokracja w Polsce". To lewicę interesuje jeszcze klasa ludowa?
– Oczywiście. To, można powiedzieć, dawna miłość lewicy, robotnicy, chłopi, osoby gorzej wykształcone i ci, którzy stają do nierównej walki z możnymi.

– Ale lewica sama stała się można.
– Misja lewicy do dzisiaj jest aktualna, wystarczy spojrzeć na lewicę amerykańską, tak różną od naszej. Tam niezwykle silny jest ludyczny charakter konwencji, kampanii, wystąpień polityków Partii Demokratycznej. Pytanie, czy klasa ludowa lubi lewicę, i tutaj możemy mieć wątpliwości. Od dłuższego czasu widać, że ta separacja bądź rozwód już nastąpiły.

– Czy to nie tak, że klasa ludowa w konsumpcjonizmie naśladuje styl życia lewicowych elit i chce awansować wyżej, by nie być już klasą ludową? Paradoks?
– Widzę ten paradoks, ale nieco inaczej. To pewien proces, który jest w centrum globalizacji i dochodzi do Polski. Mniej więcej od czterech lat w Polsce obserwujemy powrót do tzw. ludowej historii.

– Ale kto się tym zajął? Elity.
– Oczywiście, gdyż zainicjował to prof. Adam Leszczyński, dając głos chłopom z Polski przedzaborowej i opisując historię wyzysku oraz przemocy. Ludzie coraz częściej nie udają, że są ze szlachty, coraz częściej zaczynamy być dumni ze swojego ludowego pochodzenia, przestajemy się wstydzić naszego awansu społecznego. U nas ten awans przebiegał inaczej niż w Europie Zachodniej. Ale proszę zobaczyć na filmy sprzed kilkudziesięciu lat, będące często ekranizacjami jeszcze wcześniejszych powieści, zazwyczaj widzimy tam dworki, ziemiaństwo, chłopi są tłem. Dopiero niedawno pojawiła się produkcja o Tadeuszu Kościuszce, który upodmiotowił chłopów, robiąc z nich żołnierzy. Mam wrażenie, że prawdziwa lekcja z historii ludowej jest jeszcze przed nami.

– Zgoda, jako społeczeństwo nie przepracowaliśmy jeszcze historii ludowej. Wychodzimy dopiero ze wstydu, że jesteśmy ze wsi albo z prowincji.
– Mamy hegemonię kulturową tych możnych. Źródła nowoczesnej kultury polskiej są szlacheckie, nawet w „Panu Tadeuszu". Ale co więcej, przed nami jest do odkrycia ludowa historia III Rzeczpospolitej. Za sprawą książek tj. „Zapaść. Reportaże z mniejszych miast" Marka Szymaniaka, „Nie zdążę" Olgi Gitkiewicz, „Znikająca Polska" Piotra Witwickiego widzimy historie przegranych transformacji ustrojowych.

– Do tych wyliczeń muszę dodać jeszcze książki naszej felietonistki Magdaleny Okraski: „Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu" i „Nie ma i nie będzie". Człowiek z Warszawy nie czuje, jak umiera prowincja.
– Bo przegrani transformacji, czyli klasa ludowa, byli pozbawieni głosu. Ale jak Pan słusznie wskazuje, publikacji opisujących ludową historię najnowszą jest coraz więcej. Czas na przepracowanie traum robotników z gdańskiej i gdyńskiej stoczni, górników i pracowników przemysłu ciężkiego całego zagłębia śląsko-dąbrowskiego, mieszkańców PGR-ów właśnie został zainicjowany. Te osoby jeszcze żyją i są ogromnym źródłem wiedzy. Niestety elity III RP – zarówno lewicowe, jak i prawicowe – rugowały głosy tych ludzi.

– Jestem z Zagłębia i wiem, że ludzie tracili tam pracę zarówno przez rządy prawicy, jak i lewicy. To ludzie lewicy sprzedali Hindusom Hutę Katowice. Głośno u nas o tym było.
– Mimo to lewica w Zagłębiu osiągała w latach 90. spektakularne wyniki. I jeśli weźmiemy teraz spot Aleksandra Kwaśniewskiego z 1995 roku, który jest chyba esencją ludowości postkomunistycznej lewicy, gdzie mamy soundtrack „Ole! Olek", jeden z przebojów disco polo, po drugie spot, w którym prezydent mówi: „Kościół wielokrotnie mówił, że wszystko, byle nie ja. Powstały nawet specjalne inicjatywy, które mają odstręczać od mojej osoby, [...] a mnie chcą wybrać ludzie", to widzimy, że tych ścieżek lewica miała sporo. Mam wrażenie, że lewica przez lata 90., a nawet po 2001 roku potrafiła politycznie wykorzystywać frustracje klasy ludowej, która przegrała na polskiej transformacji, szczególnie że jeśli popatrzymy na twórców terapii szokowej, to nie były to osoby z poręki PZPR, tylko z obozu postsolidarnościowego. Jerzy Buzek zamykał kopalnie, a minister Tadeusz Syryjczyk powiedział, że najlepsza polityka przemysłowa to jej brak. Wyspowo lewica potrafi

MAMY HEGEMONIĘ KULTUROWĄ MOŻNYCH, ELIT FINANSOWYCH. PRZEGRANI TRANSFORMACJI, CZYLI KLASA LUDOWA, BYLI POZBAWIENI GŁOSU W III RP.

eprasa.pl 9fefc58b7b

jeszcze na tym zyskiwać. To jest dla przykładu Włocławek, Dąbrowa Górnicza, Sosnowiec.

– Dzisiaj nikt nie chce się utożsamiać z byciem robotnikiem, ludzie wolą być kojarzeni jako dobrze zarabiający fachowcy od elektryki, wykończeniówek, nie jako robotnicy. Oni często przyjeżdżają do pracy dobrymi samochodami.

– Oczywiście, to jest problem lewicy, ale kwestia jest w hegemonii kulturowej. Kultura popularna, niska promuje od lat wizerunek self-made mana, człowieka robiącego karierę, idącego przebojowo przez życie, prącego do klasy średniej. Problem w tym, że sam neoliberalizm utrudnia awans do klasy średniej. Zobaczmy warszawską klasę średnią, która czasami jest trzy raty kredytu od bezdomności. Mamy klasę średnią na kredyt. Lewica powinna walczyć nie tylko o robotników, lecz także o szerszą grupę, czyli pracowników.

– Badał Pan trzy klasy ludowe, czym one się różnią od siebie?

– W moim raporcie na zlecenie Fundacji Europejskich Studiów Postępowych oraz Fundacji im. Friedricha Eberta wyszczególniliśmy klasę ludową z małych miast i ze wsi, z dużych i średnich miast oraz dawnych wyborców SLD i Aleksandra Kwaśniewskiego. Te grupy mają różne podejście do lewicy. Grupa ze wsi i małych miast ma stosunek otwarcie wrogi. W badaniu nazywanym „chińskim portretem" pytamy ludzi, z czym kojarzy im się dany polityk, formacja itp. Na pytanie, z jakim pojazdem kojarzy im się lewica, klasa ludowa ze wsi powiedziała, że kojarzy im się z różowym meleksem z armatkami wodnymi. Mamy zatem PRL-owski ekologiczny pojazd, który armatkami wodnymi będzie strzelał do protestujących dbających o suwerenność Rzeczypospolitej. Klasa ludowa ze średnich miast i z grona SLD kojarzyła się z hipisowskim volkswagenem albo polonezem. Tej klasie ludowej lewica kojarzy się nade wszystko z wolnością osobistą. Z jednej strony partia dzieci kwiatów, z drugiej – polonez to okres Polski Ludowej. I to nie jest według mnie przytyk. W PRL przynajmniej produkowano jakieś samochody, dzisiaj nie mamy własnej marki motoryzacyjnej.

LEWICA ZAPOMNIAŁA, JAKĄ MA HISTORYCZNĄ ROLĘ DO ODEGRANIA, A TA ROLA POLEGA M.IN. NA STAWIANIU SIĘ DONALDOWI TUSKOWI. ZWYCZAJNIE WŁODZIMIERZ CZARZASTY ZAPOMNIAŁ, ŻE JEST LIDEREM SWOJEJ WŁASNEJ PARTII, KTÓRA NIE NAZYWA SIĘ PLATFORMA OBYWATELSKA.

– Czytając Pański raport, mam wrażenie, że klasę ludową w Polsce strukturyzują dzisiaj media bardziej niż partie polityczne. To bardzo ciekawe.

– To było dla mnie zaskakujące. Klasa ludowa ze średnich i dużych miast zachowuje się trochę jak klasa średnia, którą chciałaby być. Namiętnie ogląda TVN24, szuka informacji w Onecie, kocha „Kropkę na i" Moniki Olejnik. Klasa ludowa ze wsi i małych miast jest w ogóle poza mainstreamem medialnym. Oni, jak powiedzieli, szukają informacji w alternatywie. To niepokojące nie tylko dla socjaldemokracji, to niepokojące także dla PiS. Z wyników moich badań wynika, że internet skrajnie prawicowy, podkreślam – skrajnie – gdzieś z okolić Grzegorza Brauna jest świetnym poletkiem do szerzenia dezinformacji przez rosyjskie służby. Wśród odbiorców skrajnie prawicowych, wręcz „szurowskich" mediów, był rażący antysemityzm i rażąca niechęć do Ukraińców.

– Zaskakuje mnie popularność i zasięg tych „szurowskich" mediów.

– Polska nie jest tutaj niczym nadzwyczajnym. Podobną sytuację mamy w USA, tylko tam „szurowskie" grupy narzucają agendę całej amerykańskiej prawicy. Mam hipotezę, że ta klasa ludowa, tzn. ze wsi i małych miast, wchodzi w te narracje, ponieważ została opuszczona przez wszystkich. Byłem zaskoczony z niezadowolenia tej klasy z programu 500+. To pokazuje, jak umiejętnie w to niezadowolenie weszła Konfederacja.

– Może Konfederacja stosuje opisaną przez lewicowego Davida Osta politykę gniewu?

– Nie tylko. Kiedy byłem ostatnio w Jeleniej Górze, odbyło się otwarte spotkanie posła Stanisława Tyszki z mieszkańcami. Nie widziałem plakatów zapraszających na podobne

eprasa.pl 9fefc58b7b

spotkania żadnej innej partii. W czasie, gdy na Ukrainę szły transporty broni i pomoc humanitarna, obok szli politycy Konfederacji, którzy w remizach w Polsce Wschodniej i Południowej stali się twarzą lęku przed Ukraińcami.

– Raport pokazuje w liczbach, że klasy ludowe, które powinny być naturalną bazą dla Lewicy, stanowią nadreprezentację wyborców PiS. Czym to tłumaczyć?

– Tłumaczę to dawnymi błędami Lewicy, kiedy była u władzy w latach 2001–2005. Mam wrażenie, że opisując różne szoki ekonomiczne w Polsce, zapominamy o szoku millenium. Lewica rządziła wtedy w warunkach dwucyfrowego bezrobocia, po drugie wchodziliśmy do UE, która była w absolutnym apogeum wiary w wolny rynek. Przypuszczam, że gdybyśmy wchodzili do UE po kryzysie zadłużeniowym, to Unia nie byłaby aż tak sztywna, jeśli chodzi choćby o pomoc publiczną upadającym stoczniom. W tamtym czasie lewica europejska była też niezwykle zapatrzona w ideę trzeciej drogi, premierem Wielkiej Brytanii był Tony Blair, Niemcami rządził Gerhard Schröder. Mówię o tym, ponieważ lewicy wydawało się wtedy, że nie ma alternatywy. Lewica była niezwykle thatcherowska.

– Leszek Miller uwierzył wtedy w wolny rynek.

– Tak, wtedy uwierzył. Miller zgodził się na wejście Polski do UE na zasadach, które nie były najbardziej korzystne dla polskiego przemysłu. Owszem głównym celem było przystąpienie Polski do UE i bardzo dobrze, że to się stało, jednak w negocjacjach wstępu do UE było zamknięcie części kopalni, był problem kwoty mlecznej. Na tych liberalnych zasadach polski przemysł bardzo dużo stracił. Lewica również przez to straciła.

– Ale minęły lata, mamy nowe pokolenia, które są bardziej liberalne, a lewica dalej ma problem, ledwie przekracza progi wyborcze.

– Przyczyn jest bardzo dużo. Pierwszą – banalną – jest brak własnych mediów. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby przez dwadzieścia kilka lat lewica dorobiła się własnej TV Republika. Mamy jeszcze sporą część wyborców lewicy mających sentyment do PRL. Nie odnoszę jednak wrażenia, by lewica o to specjalnie dbała. Zamknięcie papierowego wydania „Trybuny" jest tego symbolem.

– Pooświeceniowe mity i naiwna wiara w postęp straciły już potencjał wyzwalający. Jak lewica się w tym odnajduje?

– Potencjał wyzwalający, jak Pan to określa, się nie wypalił. Grup, które będą podlegać emancypacji, będzie sporo. Mam wrażenie, że przez procesy emancypacyjne będzie ich coraz więcej. Osoby LGBT+ nie mają ciągle tych samych praw co osoby heteroseksualne. Kolejna sprawa, jako związkowiec OPZZ byłem i jestem zwolennikiem niskiego wieku emerytalnego. Brałem udział razem z NSZZ „Solidarność" w protestach przeciw podniesieniu wieku emerytalnego. Renta wdowia, którą dowiozła Lewica w tym rządzie, jest w interesie kobiet, nie mężczyzn. Lewica ma do obsłużenia ogromną mniejszość ukraińską, która za kilkanaście lat zacznie mówić o swoich prawach politycznych.

– Dlaczego zatem Lewica nie wykorzystuje szans, które przynosi jej los?

– Lewica przez 18 lat bycia w opozycji i prawie rok u władzy jako najmniejszy koalicjant nie charakteryzuje się sprawczością, mocą, chciejstwem. Zapomniała już, jaką ma historyczną rolę do odegrania, a ta rola polega m.in. na stawianiu się Donaldowi Tuskowi. Ta formacja przez minione osiemnaście lat ucierpiała najbardziej przez Platformę Obywatelską. Włodzimierz Czarzasty jest pod wielkim wrażeniem Donalda Tuska i pewnie chciałby być tak wielki jak on. Jednak w październiku zeszłego roku Czarzasty przekroczył granicę, której nie przekroczył żaden lider Lewicy przed nim, występując na wiecu komitetu wyborczego konkurencyjnej partii. Zwyczajnie Włodzimierz Czarzasty zapomniał, że jest liderem swojej własnej partii, która nie nazywa się Platforma Obywatelska. A jeżeli prawdą jest, że Lewica nie zamierza wystawić swojej kandydatki lub kandydata w wyborach prezydenckich, to wypada już tylko zgasić światło i zapisać się do PO. Zakładam, że nie cała Lewica ma takie podejście.

ZOBACZMY WARSZAWSKĄ KLASĘ ŚREDNIĄ, KTÓRA CZASAMI JEST TRZY RATY KREDYTU OD BEZDOMNOŚCI. MAMY KLASĘ ŚREDNIĄ NA KREDYT.

Dr Bartosz Rydliński jest wykładowcą nauk politycznych na UKSW, współzałożycielem Centrum im. Ignacego Daszyńskiego oraz działaczem związkowym.

eprasa.pl 9fefc58b7b

Ludzie, którzy z nami pracują

Do Osieka dojeżdżam dosłownie na ostatnią chwilę. Za pięć minut nastąpi tu otwarcie uruchomionej **po pożarze hali produkcyjnej** firmy Aksam. Przed wjazdem do bramy widać zgliszcza spalonego obiektu i pracujące tam koparki, spychacze, które zajmują się sprzątaniem terenu. Wjazd do hali jest od drugiej strony. Gdy podjeżdżam pod szlaban portierni, nie widać śladów tego, co wydarzyło się tutaj miesiąc temu. Moim oczom ukazuje się zadbany teren fabryki, zieleń i okazały budynek Aksam. Dokładnie 30 dni wcześniej o tej porze straż pożarna dogaszała pożar hal produkcyjnych jednego z największych polskich producentów paluszków i słonych przekąsek.

Monika Rutke

Spłonęły dwie z trzech hal produkcyjnych w Malcu. Wtedy, 12 lipca o dwunastej, nikt nie wiedział, jakie straty poniosła firma. Na miejscu tragedii poza służbami pojawili się nie tylko właściciele Adam i Artur Klęczarowie, ale też pracownicy i okoliczni mieszkańcy. Byli przedstawiciele władz samorządowych. Zjechały się także lokalne media. Ta tragedia mogła dotknąć wielu mieszkańców regionu. Sabina Kwaśniak pracuje w portierni. Do pracy dojechała tamtego dnia na 6.00 rano.

– Przyjeżdżając do pracy, widziałam kłęby dymu. Pożar cały czas trwał. Przyjechałam na swoją zmianę na 6 rano. W portierni był ze mną zmiennik z nocnej zmiany, bo bałam się być tutaj sama – opowiada pani Sabina. Była przerażona tym, co się działo. Bała się o pracę, którą bardzo lubiła, bała się też dymu i pożaru.

Adam i Artur Klęczarowie z pracownicami

Fot. Monika Rutke (3)

eprasa.pl 9fefc58b7b

– Na szczęście później przyjechał kierownik i powiedział, że widzi, że jestem zmęczona i przerażona i żebym pojechała do domu odpocząć – opowiada dalej. – Przyjechałam kolejnego dnia i jeszcze się wszystko tliło. Na szczęście widziałam i czułam tę determinację szefostwa, to bardzo uspokajało. Trudno to wyrazić, ale każdy kolejny dzień po pożarze dawał nam coraz więcej nadziei, że firma się z tego podniesie.

Przed wejściem na halę produkcyjną wszyscy dostają ubrania ochronne. Jest upał, ale każdy zakłada fizelinowe fartuchy i czepki. Jeszcze krótkie i wzruszające słowa od właściciela: – Dzięki Bogu wtedy, 13 lipca, strażakom udało się pogromić ten straszny żywioł, dzięki czemu ta część hali nie uległa spaleniu. Dlatego możemy tu dzisiaj być i się z tego cieszyć – może jeszcze nie do końca, ale parę godzin temu ruszyła produkcja – mówi Adam Klęczar i zaprasza nas do środka.

Na hali pachnie świeżymi wypiekami. Przy taśmach, na które wyciskane jest ciasto paluszkowe w kształt długich sznurków, następnie cięte w kształt paluszków, kręcą się pracownicy nadzorujący działanie maszyn. Barbara Noszka, technolog produkcji, która z firmą związana jest od trzech lat, objaśnia, jak działają maszyny i które ich części udało się ocalić z pożaru. Opowiada także o tych, które wymagały remontu. Paluszkowe ciasto przepływa przez komory pieca, po czym już wypieczone w postaci gotowych paluszków wypada z wysoko uniesionej rury i dalej wędruje wprost w ręce pakowaczek. Ta część produkcji wymaga już użycia ludzkich rąk. Maszyny do pakowania nie udało się uratować. Na szczęście są osoby, które skutecznie ją zastępują. Na hali pracuje wiele młodych osób. Wydają się szczęśliwe, że produkcja ruszyła. Monika Żurek pracuje w Aksam 6 lat i jak mówi, lubi swoją pracę: – Praca jest przyjemna i lekka. A pracodawca jest niezwykle przychylny, otwarty na nasze problemy i potrzeby. Gdy wróciłam z urlopu macierzyńskiego i chciałam pracować na dwie zmiany, pracodawca świetnie to rozumiał. Zawsze czuje się u nas takie zrozumienie. Ten dzień jest dla mnie szczególny, tak się cieszę, że możemy znowu produkować. Pracuję już tutaj tyle lat, jestem związana z tym miejscem, z tymi ludźmi. Ta informacja o pożarze była dla mnie bardzo trudna. A dzisiaj? Po prostu jestem szczęśliwa!

Hala produkcyjna

Barbara Noszka opowiada nam o tym, co zastało ją po pożarze. – Dopóki nie przyjechałam do firmy, miałam czarne myśli na temat tego, co zastanę. Gdy dojechałam na miejsce, pracował tam już sztab kryzysowy. Mnie najbardziej ucieszył fakt, że ta hala, w której się teraz znajdujemy, ocalała, bo na niej właśnie mieliśmy największe wydajności. Zresztą mieliśmy spotkanie z szefostwem, które utwierdziło nas, że wszystko będziemy odbudowywać po kolei. To sprawiało, że byliśmy dobrej myśli.

W tamtych dniach jednak najważniejszą informacją dla pracowników była ta, że pomimo tej tragedii nikt z pracowników nie straci pracy. – To nie było dla nas zaskoczenie. To nie był taki jednorazowy strzał, że teraz, w obliczu nieszczęścia Aksam okaże się dobrym pracodawcą. To nie jest żart. W tej firmie zawsze stawiało się człowieka na pierwszym miejscu. Bez względu na stanowisko czy funkcję. A nie jest to moja pierwsza praca, mam porównanie i przyznaję, że jest to mocna strona tej firmy – opowiada pani Barbara.

Skuszona zapachem, który unosi się na hali, sięgam odruchowo po świeżo wypieczone paluszki. Są jeszcze ciepłe, bardzo chrupiące i smaczne. Pytam pani Barbary Noszki, czy potrafi się opanować i nie jeść ich przez cały dzień. – To mój obowiązek. Nie da się czuwać nad jakością wypieku bez ciągłego próbowania. A jakość i smak naszych wyrobów to gwarancja sukcesu – mówi.

Nie chce jednak zdradzić, na czym polega tajemnica tego smaku: – One są wyjątkowe, bo mają unikatową recepturę. Na rynku nie ma takich wyrobów, z niezwykłą dbałością podchodzi się tutaj do składników, ale nie zdradzę, do jakich, bo to nasza tajemnica. Sama produkcja też jest teoretycznie standardowa, ale praktycznie proces wytwarzania Paluszków Beskidzkich jest wyjątkowy.

eprasa.pl 9fefc58b7b

Hala produkcyjna

Ponowne uruchomienie produkcji w Malcu w tak szybkim czasie jeszcze miesiąc temu mogło wydawać się nazbyt śmiałym planem. Cała Polska poprzez akcje w mediach społecznościowych, poruszona postawą pracodawców, wspierała firmę poprzez wybór w sklepach właśnie tych beskidzkich przekąsek. A jaki to był czas dla Aksam?

– To był bardzo intensywny miesiąc. Udało się zrobić rzeczy, które wiele osób uznawało za niemożliwe do zrobienia. Miesiąc temu, patrząc na naszą halę, mało kto uwierzyłby, że uda nam się tak szybko ją otworzyć – mówi Artur Klęczar, wiceprezes firmy. – W poniedziałek, zaraz po pożarze, kiedy usiedliśmy, wyznaczyliśmy sobie cel, żeby jak najszybciej uruchomić tę produkcję. Na przestrzeni pierwszych dni ustaliliśmy datę, wiedzieliśmy już, że może to być 12 sierpnia. I to się udało, bo konsekwentnie do tego dążyliśmy, byliśmy zdeterminowani, każdy z pracowników wiedział, co do niego należy, co musi wykonać. Każdy spisał się tutaj w stu procentach – wyznaje z radością Artur Klęczar.

Jego ojciec Adam Klęczar założył firmę 31 lat wcześniej. Na zdjęciach w biurowcu można zobaczyć zdjęcia ilustrujące jej historię. Fotografia z 1993 roku przedstawia niewielki dom, a przy nim dobudowany mały budynek. Przed nim fiat 126p – duma położonej niedaleko Bielska-Białej fabryki. Skąd pomysł na paluszki? Jak wielu obrotnych młodych ludzi w czasach przełomu ustrojowego Adam Klęczar zajął się handlem. Jeździł na giełdę – kupował i sprzedawał. Chciał jednak zająć się produkcją. Kupił jedną starą maszynę, bo idea była taka, żeby produkować coś, co nadaje się na każdą okazję i coś, na co Polaków zawsze będzie stać bez względu na to, jakie czasy nadejdą. I tak w niewielkim budynku z pustaków rozpoczęła się produkcja paluszków. Pan Adam miał wtedy 30 lat, przy produkcji zaangażowana była cała rodzina i początkowo czworo pracowników. – Ten stary zakład przy domu moich rodziców wciąż funkcjonuje. Tam pracuje kilkadziesiąt osób. Z czasem rozwinęliśmy produkcję, zwiększając liczbę pracowników. Teraz jest to ponad 600 osób we wszystkich zakładach – opowiada Adam Klęczar, prezes i założyciel firmy. – Cały czas stawialiśmy na dobre relacje z pracownikami, ja mam takie odczucia – chyba jak prawie wszyscy pracownicy – że tutaj pracuje się dobrze, bo atmosfera jest rodzinna, przyjazna. I to jest jeden z tych czynników, który jest podstawowym elementem tego biznesu – pracownicy. Jak to kiedyś powiedział Henry Ford: „Weźcie mi pieniądze, weźcie mi fabryki, zostawcie tylko ludzi, to odbuduję swoją potęgę" – mówi szef Aksam. Pytam o deklarację wobec pracowników, że nikt nie zostanie zwolniony po pożarze. Może to jednak było ryzykowne z punktu widzenia ekonomii?

– Nie zastanawiałem się nad tym, czy to jest rozsądne. Dla mnie nadrzędną wartością jest to, żeby zawsze zostać człowiekiem. To, co moim zdaniem stanowi o sukcesie Aksam, to ludzie, którzy z nami pracują – to bezcenna wartość. Drugim czynnikiem jest jakość produktów, która wynika także z tego pierwszego – mówi Adam Klęczar.

Obecnie zakład produkuje na około 60% swojej wydajności sprzed pożaru, jednak dzięki akcji w mediach społecznościowych popyt na beskidzkie przekąski z pewnością wzrósł. Potwierdza do Artur Klęczar: – Na pewno plusem naszego nieszczęścia jest to, że Polacy mogli dowiedzieć się, że Beskidzkie to właśnie polska marka. Czytam sporą liczbę komentarzy w internecie, że nasi nowi odbiorcy pierwszy raz spróbowali naszych przekąsek, i te produkty im smakują. Naszym nadrzędnym celem jest utrzymanie takiej jakości. Musimy dalej produkować, żeby nowym klientom i tym, którzy są z nami już od dawna, dostarczyć produkty z zachowaniem najwyższych standardów jakości.

Zapach świeżo pieczonych paluszków i precelków towarzyszy mi jeszcze w drodze powrotnej. Myślę o ludziach, którzy tworzą to miejsce – nowoczesny zakład produkcyjny, w którym wartości oparte na szacunku do pracowników i odbiorców swoich produktów sprawiają, że nawet tragedia może przerodzić się w sukces.

eprasa.pl 9fefc58b7b

KAWAŁ HISTORII Tygodnika Solidarność

Jeden z czołowych polskich kompozytorów i wykonawców muzycznych Stanisław Soyka już w 1991 roku podkreślał na naszych łamach, że sztuki nie wolno traktować w sposób „przemysłowy", ale należy podchodzić do niej z należytym szacunkiem i przede wszystkim – odpowiedzialnością za wyśpiewywane przez siebie słowa. – „Typowy sposób" robienia kariery jest szalenie męczący i frustrujący. Kiedy mieszkałem we Frankfurcie, znałem tam ludzi, którzy po sześć godzin bez przerwy, nie sypiając po nocach, pracowali nad wydaniem singla z hitem. W końcu niektórzy wydawali jakąś płytę, tylko że utwory nie okazywały się żadnymi przebojami, przepadały. No i tragedia! To nie dla mnie. Nigdy nie pisałem piosenki przy założeniu, że będzie przebojem – mówił Soyka w rozmowie z Rafałem Roykiewiczem opublikowanej na łamach „TS" 9 sierpnia 1991 roku. – „Tolerancją" udowodniłeś, że przebój nie musi być piosenką o niczym – stwierdził Roykiewicz. – Bardzo tego pragnąłem. Cieszę się, że „Tolerancja" zaczyna być piosenką śpiewaną przy ogniskach. […] Pamiętam, co mawiała moja matka: „Ludzie słów słuchają, a śpiewający publicznie ponosi odpowiedzialność za słowa". Czyż nie otacza nas dostatecznie wiele jałowych, bezprzedmiotowych wypowiedzi? – podzielił się swoją refleksją Soyka. Rafał Roykiewicz poruszył także temat ładunku emocjonalnego przekazywanego odbiorcom przez twórców muzycznych. – Artystom często towarzyszy pewna aura, image. Jeśli „The Doors" czy „Joy Division" uznamy – w potocznym rozumieniu – za przedstawicieli skrajnego pesymizmu, dekadencji w muzyce rozrywkowej, ciebie określiłbym jako „artystę pozytywnego" – stwierdził dziennikarz „TS". – Jestem pod wieloma względami bardzo typowy. Mam całkiem nieanegdotyczny życiorys – żona, dzieci… Generalnie uważam się za chrześcijanina i dlatego uważam, że warto czynić dobrze, ponieważ kiedyś to się zwróci. A przeciwności życia – rozpacz, kłopoty, tylko nas szlifują. W zetknięciu z nimi dopiero widać, ile jest warta nasza wewnętrzna harmonia – odpowiedział Soyka. Artysta podzielił się także swoją refleksją na temat ponadczasowej siły słowa, przywołując w tym kontekście poezję Cypriana Kamila Norwida. – Ostatnio mam skłonność do śpiewania a capella, zupełnie sam, jak patyk. Kiedy tak wykonywałem na bis na koncertach „Moją Ojczyznę", ludzie stali na baczność, jak osłupiali. Może dlatego, że słowa Norwida są szalenie ważne, zwłaszcza dzisiaj! Jestem pod ich wielkim wrażeniem – zaznaczył rozmówca „Tygodnika Solidarność".

AŻ

Tygodnik Solidarność
Nr 32 (151) Ro
9 sierpnia
ISSN 0208-8045
Po nas POTOP
Wysyp kurek
Odpowiedzialność za słowa
Urlop, dworzec, Mozart

eprasa.pl/9fefc58b7b

Baltic Power

ORLEN na wysokości Łeby i Choczewa buduje morską farmę wiatrową Baltic Power. W realizacji tego projektu od początku bierze udział **wielu polskich dostawców** – bezpośrednio jako główni wykonawcy oraz podwykonawcy w łańcuchu dostaw inwestycji.

Andrzej Berezowski

Budowana na Bałtyku farma wiatrowa Baltic Power ma się składać z 76 turbin wiatrowych i dysponować mocą ok. 1,2 GW. To obecnie najbardziej zaawansowany projekt tego typu i jedyny, który jest w fazie budowy.

Farma rozpocznie pracę w 2026 roku, kiedy zostanie włączona do polskiego systemu energetycznego. Założony minimalny okres eksploatacji to 25–30 lat. Inwestycję, która ma kosztować ok. 21,4 mld zł, ORLEN realizuje wspólnie z Kanadyjczykami z Northland Power w ramach spółki celowej Baltic Power.

Polscy wykonawcy

Baltic Power jest jednym z sygnatariuszy tzw. Umowy Sektorowej z 2021 roku. Zgodnie z jej założeniami spółka zadeklarowała, że dołoży starań, aby w całym cyklu projektu, tj. na etapie planowania, budowy i w okresie wieloletniej eksploatacji farmy, udział polskich firm wynosił od 20 do 30 procent wartości. Zależy to przede wszystkim od dostępności, doświadczenia i gotowości do realizacji zadań w sektorze, który w Polsce dopiero się kształtuje. Spółka zawarła już kontrakty na wykonanie jej kluczowych elementów. Wśród partnerów biznesowych obok najbardziej doświadczonych na świecie dostawców

eprasa.pl 9fefc58b7b

Transport elementów morskich stacji elektroenergetycznych realizowanych przez **polskich wykonawców**

Fot. materiały prasowe ORLEN

z sektora offshore wind, takich jak: Vestas, Cadeler, Bladt, Steel Wind, znalazły się również polskie podmioty: Enprom, TELE-Fonika Kable, Erbud, MEWO, Antea czy firmy będące podwykonawcami dostawców. Polskie firmy mają też wspierać eksploatację elektrowni w okresie ok. 25–30 lat jej pracy.

W Polsce powstają między innymi elementy fundamentów turbin, elementy fundamentów stacji elektroenergetycznych, dźwigi stacji morskich, kable morskie i lądowe oraz główna konstrukcja stalowa morskich stacji elektroenergetycznych tzw. topside (właściwa farma osadzana na fundamencie), która budowana jest w stoczniach w Gdańsku i Gdyni. Z projektem Baltic Power łączą się też inne, duże inwestycje w sektorze morskich farm wiatrowych. Wraz z wyborem duńskiej firmy Vestas jako dostawcy turbin dla projektu firma ogłosiła, że wybuduje w Szczecinie nową fabrykę gondol turbin. Zatrudnienie w niej znajdzie ponad 700 osób, a zakończenie jej budowy zaplanowano na 2026 rok.

Port w Łebie i stacja odbiorcza w Choczewie

W celu budowy farmy i jej późniejszej obsługi w Porcie Łeba powstaje baza serwisowa. Jej nabrzeże umożliwi przejmowanie statków o długości do 35 metrów. Docelowo ma być to baza macierzysta dla trzech lub czterech specjalistycznych jednostek przeznaczonych do transportu sprzętu i personelu serwisowego na farmę. Budowa bazy zakończy się w 2025 roku i pochłonie blisko 62 mln zł. Podobnie jak infrastruktura lądowa odbioru energii z farmy, w tym lądowa stacja odbiorcza w Choczewie, w większości budowana jest przez polskie firmy.

ORLEN neutralny klimatycznie

Zgodnie z ogłoszonymi planami ORLEN w 2050 roku stanie się neutralny klimatycznie. Oznacza to m.in. stopniowe odchodzenie od produkcji energii z węgla. Jednym z głównych kierunków rozwoju nowoczesnej energetyki będą morskie farmy wiatrowe. Koncern oprócz projektu Baltic Power posiada 5 kolejnych koncesji na realizację morskich farm wiatrowych, które pozyskał w ubiegłym roku. Ich budowa spowoduje rozwój sektora morskiej energetyki wiatrowej w Polsce, a w konsekwencji powstanie tysięcy nowych miejsc pracy i wiele korzyści gospodarczych dla krajowych firm, które będą włączane na coraz większą skalę w łańcuchy dostaw tego sektora. Inwestycje wpłyną też na wzrost udziału energii odnawialnej w krajowym miksie energetycznym.

eprasa.pl 9fefc58b7b

NA STYKU PŁYT
jak na beczce prochu

Przez ponad tydzień Japonia znajdowała się w cieniu megatrzęsienia ziemi – to zagrożenie, przed którym społeczeństwa z **taką pewnością** nie ostrzegał nigdy wcześniej żaden rząd i żadne służby meteorologiczne. Choć zagrożenie formalnie odwołano, Japończycy są przygotowani na kataklizm, który może zrównać ich nowoczesne państwo z ziemią.

Wojciech Kulecki

To, czego nie zniszczą wstrząsy, dokończy fala tsunami – w przypadku ziszczenia się przewidywań specjalistów od geologii może być tak wielka, że przetoczy się przez całe wyspy. To tak, jakby fala zalała pół Polski.

Japończycy zostają na miejscu

Trzęsienie ziemi, które nawiedziło Japonię w pierwszym tygodniu sierpnia, postawiło na nogi wszystkie służby, łącznie z japońskim wojskiem. Japończycy wciąż pamiętają wstrząsy na oceanie z marca 2011 roku, które wywołały falę tak potężną, że zniszczyła ona doszczętnie jedną z największych japońskich i największych na świecie elektrowni jądrowych. Awaria elektrowni w Fukushimie w związku ze zniszczeniami wywołanymi przez wstrząsy i gigantyczną

eprasa.pl 9fefc58b7b

Fot. Adobe Stock

falę doprowadziła do największej cywilnej katastrofy nuklearnej od czasów wybuchu w elektrowni w Czarnobylu. Japończycy do dzisiaj borykają się z Fukushimą – oczyszczają ją z radioaktywnych substancji przy nierzadkich protestach społeczności międzynarodowej. Jednak katastrofa sprzed 13 lat pokazała, że to jedyne państwo, które systemowo przygotowane jest na przyjęcie trzęsienia ziemi o skali, której obawiają się japońscy i chińscy sejsmolodzy. Zwraca uwagę również reakcja obywateli kraju, którzy zamiast szukać ucieczki z zagrożonego państwa, masowo wrócili na japońskie wyspy, rezygnując z jakże popularnych i tanich – z perspektywy mieszkańców Kraju Kwitnącej Wiśni – wycieczek do Europy, w tym również do Polski. Obraz mnogich japońskich wycieczek z pasją fotografujących gotyckie i barokowe budynki oraz – to częste zjawisko – dzieci z włosami w kolorze blond – na razie zniknął z naszych ulic, właśnie w związku z tym zagrożeniem.

Sierpniowe trzęsienie ziemi, choć nie skończyło się mrożącą krew w żyłach liczbą ofiar ani spektakularnymi zniszczeniami, nie pozostało obojętne dla polityki i gospodarki tego kraju.

To, że po trzęsieniu o magnitudzie 7,1 nie było ofiar śmiertelnych i poważnych zniszczeń, jest efektem doskonalonej przez wieki sztuki budowlanej w kraju samurajów.

Gotowi na filmowy kataklizm

Japonia znajduje się w tzw. pacyficznym pierścieniu ognia, czyli na linii uskoków sejsmicznych otaczających Ocean Spokojny, i jest jednym z najbardziej narażonych na trzęsienia ziemi krajów na świecie. Rocznie zdarza się tam nawet kilkaset wstrząsów – zwykle o sile dochodzącej do „dolnych 6 stopni", którą Japończycy opisują jako wstrząs, przy którym trudno utrzymać się na nogach. Podobne wstrząsy niszczyły w innych krajach Azji całe miasta, jednak dla potomków samurajów największym zagrożeniem przy takich wstrząsach jest właśnie... utrata równowagi. Budynki zwykle mają się dobrze, choć zarówno one, jak cała infrastruktura – w tym lotniska i dworce – jest natychmiast po wstrząsach skrupulatnie sprawdzana przez japońskie służby.

Oczywiście silne trzęsienia, które zdarzają się nocą czy nad ranem, kończą się ofiarami śmiertelnymi – 1 stycznia tego roku w północno-środkowym regionie Japonii zginęło wskutek wstrząsów o magnitudzie 7 stopni ponad 240 osób. Jednak to wciąż daleko do liczby ofiar podobnych wstrząsów w innych krajach świata, gdzie liczba ofiar zwykle sięga kilku lub kilkudziesięciu tysięcy ludzi.

Tym razem jednak Japońska Agencja Meteorologiczna uznała, że silne – choć akceptowalne – wstrząsy z 8 sierpnia mogły być zapowiedzią idących za nimi dużo silniejszych, które mogą zagrozić całemu krajowi i większości jego populacji. Zdaniem sejsmologów z JMA temu państwu grożą wstrząsy o sile przekraczającej 10 stopni. To trzęsienie, którego w nowożytnej historii państwa nie było. Siłą rzeczy więc ani służby, ani obywatele nie są przygotowani, żeby doraźnie poradzić sobie z podobnym kataklizmem. Wszystko, do czego mogli przygotować się Japończycy, to szybka i skuteczna reakcja na kataklizm.

SILNE TRZĘSIENIA, KTÓRE ZDARZAJĄ SIĘ NAD RANEM, KOŃCZĄ SIĘ OFIARAMI ŚMIERTELNYMI – 1 STYCZNIA ZGINĘŁO WSKUTEK WSTRZĄSÓW O MAGNITUDZIE 7 STOPNI PONAD 240 OSÓB.

Po raz pierwszy w historii kraju i świata serwisy informacyjne oraz rozgłośnie radiowe i telewizyjne zaczęły ostrzegać przed megatrzęsieniem. Megatrzęsieniem, które zachodni

eprasa.pl 9fefc58b7b

świat doskonale zna z hollywodzkich superprodukcji, jednak nie z historii i doświadczenia.

Rządowi eksperci prognozowali, że trzęsienie ziemi w tym regionie, wzdłuż granicy płyt tektonicznych między zatoką Suruga w prefekturze Shizuoka a obszarami morskimi u wybrzeży wyspy Kiusiu, mogłoby skutkować silnym tsunami, w wyniku którego – według jednego ze scenariuszy – zginęłoby ponad 230 tys. osób, a ponad dwa miliony budynków uległyby zniszczeniu.

Wstrząsy w rządzie

Kilka godzin po ostrzeżeniach wszyscy członkowie japońskiego rządu odwołali swoje urlopy i zmienili plany – wszyscy stawili się w gabinecie premiera Fumia Kishidy, który odwołał wszystkie planowane od niemal roku zagraniczne wizyty do Mongolii i krajów Azji Środkowej. To właśnie on osobiście miałby zarządzać operacją ratunkową na wypadek klęski żywiołowej w takiej skali.

Natychmiast zareagowali również zwykli Japończycy, przerywając swoje wakacje i wracając do ojczyzny. Japoński sektor turystyczny skarżył się, że ostrzeżenie doprowadziło do pierwszego po pandemii koronawirusa kryzysu w branży. Odwołano większość rezerwacji również w turystyce wewnętrznej.

Kazuya Miyahara, przedstawiciel departamentu turystyki rządu prefektury Miyazaki – znanej z plaż i krajobrazu miejskiego z okresu Edo – przekonywał, że wpływ na wstrzymanie ruchu turystycznego miałyby właśnie ostrzeżenia o megatrzęsieniu. Sansuien, tradycyjny zajazd japoński ryokan z gorącymi źródłami w prefekturze Kochi (jego zniszczenie przewidywały rządowe prognozy) informował, że rezerwacje dla około 450 gości zostały anulowane zaledwie dzień po ostrzeżeniu. W ciągu następnych kilku dni odwołano kolejne 600 rezerwacji.

Niedługo później Fumio Kishida zapowiedział swoją rezygnację z funkcji premiera i szefowania partii. Premier, który objął gabinet w październiku 2021 roku, jest dzisiaj ósmym najdłużej urzędującym szefem rządu w powojennej historii Japonii. I choć miał niemałe osiągnięcia – to za jego kadencji Japonia uporała się w deflacją, poziom płac i inwestycji zaś wyraźnie wzrosły pierwszy raz od dekady, wyborcy zapamiętają go przede wszystkim przez skandale finansowe, które targały partią liberalno-demokratyczną, i spadający wskaźnik urodzeń, co przekreśliło jego politykę demograficzną. Przed zapowiedzią rezygnacji rząd w Tokio cieszył się według badań jedynie 25-procentowym poparciem. Choć społeczeństwo przyjęło ze zrozumieniem zapowiedzi Kishidy o rezygnacji, z uznaniem przyjęło również jego deklarację, że pozostanie na stanowisku i w kraju przynajmniej tydzień po zniesieniu ostrzeżenia przed megatrzęsieniem.

– Jako premier, czyli osoba ponosząca najwyższą odpowiedzialność za zarządzanie kryzysowe, zdecydowałem się pozostać w Japonii tak długo, jak będzie to konieczne – powiedział podczas jednej z konferencji prasowych.

Nie opuszczą ojczyzny

Japońska Agencja Meteorologiczna odwołała ostrzeżenie o megatrzęsieniu 15 sierpnia. Jednak jej eksperci zauważyli, że tak, jak wprowadzenie go nie oznaczało, że supersilne wstrząsy i zagrożenie gigantyczną falą tsunami wydarzą się na pewno, tak nie ma gwarancji na to, że kraju znów nie nawiedzą wstrząsy – być może silniejsze niż te sprzed dwóch tygodni. Służby wciąż pozostają w stanie podwyższonej gotowości, Japończycy zaś deklarują, że nie zostawią ojczyzny przy tak poważnym zagrożeniu. W końcu w przypadku kataklizmu może się przydać każda para rąk, a doświadczenie z innych krajów dowodzi, że liczba ofiar dramatycznie wzrasta już po trzęsieniu, kiedy ludzie giną pod gruzami zawalonych budynków. Do ewentualnej ewakuacji (oraz koniecznej odbudowy) przygotowują się biznesowe centra największych japońskich miast, elektrownie atomowe zaś (Japonia ma obecnie siedem działających reaktorów) są przygotowane na kataklizm tak, żeby nie powtórzyła się sytuacja, która wydarzyła się w elektrowni w Fukushimie w 2011 roku. Japońscy żołnierze, od dwóch lat ćwiczący na poligonach konieczność obrony przez możliwym atakiem Chin albo Rosji, do zestawu ćwiczeń dołożyli również zadania, które mogą być konieczne w przypadku megatrzęsienia ziemi.

TRZĘSIENIE ZIEMI W TYM REGIONIE MOGŁOBY SKUTKOWAĆ SILNYM TSUNAMI, W WYNIKU KTÓREGO ZGINĘŁOBY PONAD 230 TYS. OSÓB, A PONAD DWA MILIONY BUDYNKÓW ULEGŁYBY ZNISZCZENIU.

eprasa.pl 9fefc58b7b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Pod kontrolą

To nieprawda, że mamy do czynienia z jakąś katastrofą ekologiczną. To znaczy prawda, ale nie cała. Katastrofa, owszem, jest, ale „pod kontrolą". Tak przynajmniej zapewnia minister klimatu i środowiska Paulina Henning-Kloska. Od razu czuję się uspokojony.

Nie wiem, czy zdają sobie Państwo sprawę, ale od kilku tygodni mamy do czynienia z katastrofą ekologiczną. Taką samą, jak dwa lata temu na Odrze, ale tym razem, na jeszcze większą skalę. Możliwe jednak, że Szanowni Czytelnicy to przeoczyli. I wcale nie byłoby to takie trudne. W przeciwieństwie do 2022 roku obecnie nie mamy bowiem do czynienia z taką histerią i wzmożeniem, jakie nam wówczas zaserwowano. Jak to możliwe?

Odpowiedź jest oczywiście banalnie prosta. Dwa lata temu rządziło PiS, więc niemal automatycznie w telewizji obserwowaliśmy wydania specjalne, żółte paski grozy, żałosne happeningi i prawdziwą histerię. Politycy ówczesnej opozycji atakowali rząd za rzekomą bierność i niekompetencję, strasząc przy okazji Polaków skażeniem Odry, rozpowszechniając kłamstwa o rtęci i generalnie wzbijając się na wyżyny teatru.

Warto zaznaczyć, że dwa lata temu problem złotych alg i masowego zdychania ryb wystąpił na taką skalę po raz pierwszy. Można się oczywiście spierać, czy można było zareagować lepiej, czy też nie, ale faktem jest, że bardzo szybko zaangażowano wszystkie możliwe służby, a niedługo później odkryto przyczynę tej katastrofy i opracowano plan naprawczy. Co więcej, sytuacja nie powtórzyła się rok temu.

Tak się jednak złożyło, że katastrofa wydarzyła się tego lata. Nie przesądzam, bo nie wiem, czy rządzący wykazali się tu błędami, ale faktem jest, że ich pozycja wyjściowa była lepsza niż dwa lata temu PiS. Tymczasem zastosowano doskonale znaną taktykę przemilczania problemu. Najpierw udawano, że go nie ma, a gdy już się dłużej nie dało tego robić, to udawano, że coś się robi. Tak, udawano, bo trudno to inaczej ocenić.

Tylko z samego jeziora Dzierżno Duże i IV sekcji Kanału Gliwickiego wyłowiono w sierpniu ponad 115 ton śniętych ryb (stan na 21 sierpnia). Walka spadła głównie na barki wędkarzy, którzy apelowali o jakąkolwiek pomoc. Premier, choć dwa lata temu bez mrugnięcia oka atakował swojego poprzednika, udał się na urlop i o sprawie milczy. Wiadomo przecież, że w mediach społecznościowych najłatwiej „śmieszkować" albo wrzucać ocieplające wizerunek zdjęcia. Z kolei minister klimatu błysnęła stwierdzeniem, że „katastrofa jest pod kontrolą". O tempora! O mores!

Wilczym prawem opozycji w demokratycznym państwie jest krytyka. Problem zaczyna się wtedy, gdy trzeba się zmierzyć z zagadnieniem, o którym wcześniej tyle się mówiło. Tyle tylko że przestało już obowiązywać. Hipokryzja, cynizm i zwykłe kłamstwo są już na porządku dziennym. Zawsze więc można odwrócić kota ogonem albo po prostu się wyprzeć. Wszystko, byleby nie przyznać się do błędu. I tak to się kręci.

eprasa.pl 9fefc58b7b

J.D. Vance: Z pasa rdzy na sam szczyt

Gdy w połowie lipca Donald Trump ogłosił, że w raz z nim w amerykańskich wyborach prezydenckich wystartuje James David Vance jako kandydat na wiceprezydenta, polscy komentatorzy podzielili się na zaskoczonych i przerażonych. Pierwsi spodziewali się postawienia na kogoś bardziej centrowego, kto łagodziłby mocną wymowę kampanii Trumpa, drudzy wpadli w panikę na podstawie **krytycznych wypowiedzi Vance'a na temat wspierania Ukrainy**. Obie te sprawy zweryfikuje zapewne kampania, a potem być może praktyka prezydentury. Nim to się stanie, spójrzmy na społeczny wymiar poglądów 40-letniego polityka i jego drogę życiową.

Krzysztof Karnkowski

Fot. Wikipedia.org.

James David Vance wywodzi się z ubogiego środowiska robotniczego, określanego jako hillbilly, które za pracą wywędrowało z rodzimych Appalachów i rozlało się po du-

eprasa.pl 9fefc58b7b

żych połaciach Stanów. Osiedlali się wśród podobnych sobie robotniczych rodzin w przemysłowych miastach, które tworzyły jeszcze kilkadziesiąt lat temu tzw. stalowy pas. Stabilizacji spełnionego amerykańskiego snu wystarczyło jednak tylko dla jednego pokolenia. Produkcja coraz częściej wyprowadzana była poza Stany, w efekcie zakłady – mające być stałym punktem odniesienia dla kolejnych roczników – redukowały zatrudnienie. Pracujący dziadkowie pokolenia Vance'a mogli jeszcze liczyć na emerytury i ubezpieczenia, ich dzieci czekał los dużo bardziej niepewny, a wnuki zdawały się być – i często były – przegrane na starcie. Pas stali stał się pasem rdzy.

Ryba, wędka, rodzina

Dziadkowie J.D. Vance'a, choć też ludzie szalenie barwni, pracowali ciężko i zdobyli pewne owoce tej pracy, które ratowały później ich wnuki, gdy te nie mogły liczyć na matkę. Ta bowiem życie rodzinne miała w gruzach niemal od początku, a gdzieś między jednym a drugim mężem i po stracie ojca w miarę pewną pracę zamieniła na narastające uzależnienie od coraz gorszych narkotyków. Historię tę poznać możemy dość dobrze, mając do dyspozycji zarówno wydaną również w Polsce autobiografię Vance'a „Elegia dla bidoków", jak i jej ekranizację, dostępną wciąż na Netfliksie. Osoby, które najpierw czytały książkę, na film często narzekają: że spłyca, że jest zbyt hollywoodzki, że romantyzuje w pewnym stopniu biedę, słowem – idzie na skróty. Kto jednak zacznie od filmu, będzie w lepszej sytuacji, ponieważ drukowana „Elegia..." będzie po prostu rozwinięciem filmowego skrótu, wpisaniem go w dużo szerszy kontekst i uzupełnieniem o manifest społeczny J.D. Vance'a. To być może najważniejsza część książki, zwłaszcza w kontekście możliwego wpływu jej autora na politykę. Vance łączy swoje spojrzenie ze społeczną nauką kościoła, uzyskując w efekcie dość nietypowe dla Ameryki – i chyba też rzadkie w kapitalizmie (czy może już postkapitalizmie) – podejście. Gdy jedni uważają biedę wyłącznie za efekt roszczeniowego lenistwa, a inni skłonni są zdjąć ze społecznie wykluczonych całą odpowiedzialność, J.D. stwierdza, że obu stronom często umyka tło, w efekcie i krytyka, i pomoc trafiają w próżnię lub pogłębiają tylko problemy. On sam uciekł swemu przeznaczeniu dzięki spotkaniu na swojej drodze ludzi, począwszy od przywołanego już starszego pokolenia, które miało jeszcze szanse na praktykowanie etosu pracy, wiary i patriotyzmu (rola dziadków, a później już tylko babci pozostaje tu kluczowa); przez nauczycieli i przełożonych z wojska aż do profesorów i kochającej żony, która dokończyła, jak się zdaje, dzieła tak wielu innych osób. Vance dostrzega w biednych godność, równocześnie oczekując tego samego zarówno od bogatych, jak i od samych biednych, zbyt wygodnie i łatwo osuwających się nieraz w piekło niemocy i rozmaitych uzależnień. Dość znaczące w opisie rozmijania się potrzebujących i ofiarujących pomoc jest to, że on sam o pewnych możliwościach dowiadywał się bardzo późno lub nawet zbyt późno – choćby o propozycjach niedostępnych, jak się zdawało, uczelni dla takich jak on młodych ludzi. Czasem zresztą w tych właśnie momentach Vance może być (łapałem się na tym, że dla mnie był) trochę zbyt amerykański. Choć przecież do stwierdzenia, że żaden rząd nie rozwiąże za ludzi wszystkich ich problemów, trudno się przyczepić. Może jednak próbować pomóc je rozwiązać i między innymi dlatego nasz bohater zdecydował się na karierę polityczną zamiast prawniczej. Kluczowy jest tu jednak element tradycyjnego konserwatyzmu J.D., który podkreśla rolę rodziny i innych funkcjonujących na najbliższym człowiekowi poziomie wspólnot, w tym Kościołów. To odróżnia go od głosicieli obu klasycznych szkół: ani wędka, ani ryba nie zastąpią oparcia, jakie musi znaleźć zarówno wchodzący w życie młody człowiek, jak i rodzina jako taka.

> VANCE JAKO REPUBLIKANIN POCZĄTKOWO BYŁ WOBEC TRUMPA SZALENIE KRYTYCZNY, NIE POPARŁ GO TEŻ W WYBORACH W 2016 ROKU.

Od krytyki do partnerstwa

To dobry moment, by wrócić do tła politycznego dziejów J.D. Vance'a. Przez lata w Stanach robotnicy, a także gorzej sytuowani mieszkańcy tradycyjnie popierali demokratów. Wskaźniki te trochę zmieniła ogromna i ponadklasowa popularność Ronalda Reagana, jednak dopiero ostatnie lata to zauważalne przepływy tych grup w stronę republikanów. Wyjaśnienia tego zjawiska szukać trzeba w podobnym do polskiego odklejeniu elit, które zmieniły przez lata przedmiot swojej troski, koncentrując się na dość konkretnych, z reguły całkiem dobrze ustawionych w systemie mniejszościach,

eprasa.pl 9fefc58b7b

porzucając dawniej hołubioną przez siebie klasę pracująca. Równocześnie część prawicy odchodzi od postulatów stricte liberalnych, takich jak ograniczenie roli państwa i jego pomocy, zarazem odwołując się do tożsamości grupowych i uczuć patriotycznych, które w przekazie demokratów schodzą na plan dalszy. Co więcej, to właśnie oni są przez wiele środowisk utożsamiani z tymi samymi elitami, które skazały choćby pas rdzy na powolny upadek. Donald Trump, choć sam będący przecież członkiem finansowej elity USA, jako pierwszy zdyskontował politycznie to pęknięcie między demokratami a ich tradycyjną bazą i wyrównał wskaźniki poparcia w lepiej i gorzej sytuowanych grupach wyborców. Co ciekawe, Vance jako republikanin początkowo był wobec Trumpa szalenie krytyczny, nie poparł go też w wyborach w 2016 roku. Jednak retoryka i praktyka prezydentury zmieniły jego nastawienie. Już w 2018 roku Vance pisał, że Donald Trump jest jednym z niewielu polityków, potrafiących zauważyć frustrację biedniejących rejonów Ameryki, w tym jego rodzinnego Ohio. Ta zmiana doprowadziła go do kasowania starych wpisów na Twitterze, a następnie współpracy, zwieńczonej jak na razie kandydowaniem na wiceprezydenta u boku Trumpa. – Trump odwrócił dekady zdrad przez skorumpowanych politycznych insiderów [...]. Joe Biden przez pięć dekad w polityce robił wszystko, by uczynić Amerykę słabszą i uboższą – mówił Vance podczas niedawnej konwencji, by zapowiedzieć coś, co niespecjalnie kojarzy się z prawicą, rozumianą tradycyjnie, pasuje jednak do jej alternatywnego, antysystemowego wcielenia: „Skończymy słuchania się Wall Street, zaangażujemy się na rzecz człowieka pracującego". Młody senator zwraca uwagę na fakt, że republikanów popiera coraz więcej związkowców i nie widzi w tym nic dziwnego. Republikanie przejmują według niego od demokratów role partii klasy robotniczej, w tym – jej zorganizowane w związki części.

VANCE ŁĄCZY SWOJE POGLĄDY ZE SPOŁECZNĄ NAUKĄ KOŚCIOŁA, UZYSKUJĄC W EFEKCIE DOŚĆ NIETYPOWE DLA AMERYKI I RZADKIE W KAPITALIZMIE PODEJŚCIE.

REPUBLIKANIE WEDŁUG VANCE'A PRZEJMUJĄ OD DEMOKRATÓW ROLĘ PARTII KLASY ROBOTNICZEJ, W TYM – JEJ ZORGANIZOWANE W ZWIĄZKI CZĘŚCI.

Pracownicy zmieniają sympatie

Demokraci świadomi są odsuwania się od siebie uboższych grup wyborców, dlatego też w bieżącej kampanii starają się zwrócić uwagę na pokaźny majątek startującego tandemu republikanów, a samego Vance'a chcą przedstawić jako kogoś, kto odciął się od swojej klasy i dziś próbuje ją przede wszystkim pouczać – co jest oczywiście podejściem bardzo krzywdzącym. Trzeba jednak pamiętać, że w Stanach duży wpływ na preferencje wyborcze mają też różnice rasowe, a podziały między białymi i kolorowymi nie są tożsame z podziałami majątkowymi. Czasem, choć jest to marginalne, dzieje się wręcz odwrotnie i czujący się pewniej i bardziej stabilnie przedstawiciele społeczności meksykańskiej czy nawet czarnoskórej decydują się na poparcie republikanów. Na koniec warto zauważyć, że J.D. Vance został też zauważony i skrytykowany przez polską lewicę, a przynajmniej przez związany z nią dziennik „Trybuna". Na jego łamach anonimowy autor w tekście pod niezostawiającym zbytnio miejsca na własne oceny tytułem „Vance to hipokryta" powtarza zarzut, że kandydat na prezydenta jest zbyt bogaty, by reprezentować uboższą Amerykę. „Vance, mimo swojej nowej maski obrońcy ludu, to prawdziwa katastrofa dla pracowników i wszystkich, którzy wierzą w rzeczywistą ochronę interesów zwykłych Amerykanów" – czytamy w „Trybunie", jednak jedynym własnym zarzutem autora okazują się być pretensje, że... „[Vance] krytykował Donalda Tuska za aresztowania posłów opozycji oraz wprowadzanie autorytaryzmu i ograniczanie wolności mediów w Polsce".

eprasa.pl 9fefc58b7b

KARUZELA Z BLOGERAMI

@FIAT MONEY

HIPERINFLACJA. FAKTY I MITY

W OBIEGU KRĄŻY POTOCZNA TEORIA HIPERINFLACJI. Idzie to mniej więcej tak: państwo jest zbyt hojne, chce wydawać za dużo, nie daje rady pożyczyć na to pieniędzy, więc je drukuje, inflacja przyspiesza i po paru latach mamy hiperinflację. Jak w PRL i Wenezueli.

Ile ta teoria ma wspólnego z prawdą? No właśnie, niewiele. Bo jeśli spojrzymy na to, kiedy w historii wydarzały się hiperinflacje, to jakieś 95% wszystkich ich przypadków w XX wieku zdarzyło się w trzech zaledwie wąskich okresach: 1916–1921, 1941–1946 i 1981–1995. Hmmm... Czyżby rządy tylko okresowo i grupowo były nieodpowiedzialne?

Żeby zrozumieć, dlaczego tak jest, musisz – Drogi Czytelniku – wyrzucić do kosza dwa przeświadczenia na temat inflacji. Pierwsze jest takie, że hiperinflacja to taka duża inflacja, powstaje z nieleczonej inflacji rzędu 10–20%. Drugie polega na tym, że hiperinflacja jest zjawiskiem monetarnym: powstaje zawsze z druku pieniądza przez rząd.

W celu obalenia tych mitów przeanalizujemy parę przypadków hiperinflacji. Ale zaczniemy od teorii pieniądza państwowego. Państwo jest emitentem arbitralnych punktów (pieniędzy), którym nadaje wartość, bo narzuca podatek do zapłacenia tylko w tychże punktach. To jakby drukować bilety do kina. Czy miałyby jakąkolwiek wartość, gdyby nie sprawdzano ich przy wejściu na salę kinową? Oczywiście, że nie.

Mamy więc pierwszą ważną informację: skoro pieniądz jest tworem państwa, to jego wartość błyskawicznie zjedzie do zera w momencie, gdy państwo się rozpadnie lub wycofa z danego terenu. Hmmm... Czy ma to związek z hiperinflacjami w latach 1916–1921 i 1941–1946? Oczywiście, oba okresy wielkich hiperinflacji to czasy wojennej zawieruchy, która uderzała w same podstawy państwowości krajów, gdzie hiperinflacja się wydarzała.

I drugi ważny element, bez którego hiperinflacji nie zrozumiemy. Skoro inflacja to „za dużo pieniądza goniącego za małą ilość dóbr", to... może powstać z nagłego braku dóbr. Skoro wierzymy, że rządy nagle i grupowo zaczynają szaleńczo drukować pieniądze, to powinniśmy dać radę uwierzyć, że nagle mogą spaść plony, zniszczone lub skonfiskowane mogą zostać fabryki albo błędna polityka państwa może doprowadzić do załamania produkcji. Gdy nagle jest na sprzedaż dużo mniej produktów niż jeszcze parę miesięcy temu, to istniejąca moc nabywcza staje się o wiele za duża.

Spójrzmy teraz na największe hiperinflacje w historii. Kolejność niechronologiczna.

Węgry, 1946. Na skutek wojny zniszczono i wywieziono znaczną część mocy produkcyjnych. Rząd prohitlerowski upadł, więc wiara w stabilność waluty owego rządu zniknęła. Efekt? Hiperinflacja!

Niemcy weimarskie, 1922. Na skutek reparacji do zapłaty w funtach brytyjskich i złocie oraz zajęcia bazy przemysłowej w dolinie Renu przez Francję, Weimar próbował kupować funty i złoto za marki oraz kupować na rynku wewnętrznym towary na eksport, co doprowadziło do braku towarów i załamania kursu marki. Co ciekawe, pamięć na temat tej hiperinflacji jest w Niemczech postawiona na głowie: uważa się, że z powodu zniszczenia waluty do władzy doszedł Hitler. Było niemalże na odwrót: Hitler doszedł do władzy dekadę później, po tym jak deflacyjna polityka rządu weimarskiego doprowadziła do masowego bezrobocia.

Zimbabwe, 2007. Po wyrzuceniu białych farmerów Robert Mugabe rozdał ziemie... nie, nie rolnikom, ale swoim kolesiom: produkcja zboża upadła, Mugabe próbował kupować zboże na rynkach światowych, a że dolarów USA nie miał, oferował swoje dolary – walutę kraju, w którym mamy właśnie upadek produkcji. Skończyło się zgodnie z oczekiwaniami.

Przykłady można mnożyć. Zawsze powraca jednak ten sam zestaw dwóch czynników. Upadek państwa i nagłe szoki podażowe. To są prawdziwi winowajcy hiperinflacji. Wszystkich. A nie żadne tam „nadrukowanie pieniędzy". To bajeczki dla dzieci.

eprasa.pl 9fefc58b7b

ŚWIAT WEDŁUG CHODAKIEWICZA

Studia w Kalifornii: Lekcja islamu (cz. 1)

Marek Jan Chodakiewicz

Przygotowany emocjonalnie – bardziej niż intelektualnie – zacząłem moją przygodę uniwersytecką w północnej Kalifornii w 1982 r. Islam funkcjonował w moim życiu jako nurt podrzędny w stosunku do mojego głównego zainteresowania, jakim była sowietologia, a oprócz tego fascynowała mnie przez wiele lat Japonia. Ale islam nigdy nie zniknął. Wprost przeciwnie – był stale obecny.

Poruszałem się między College'em w San Mateo (CSM), Uniwersytetem Stanforda, Uniwersytetem Kalifornijskim w Berkeley oraz Uniwersytetem Stanowym w San Francisco (SFSU). W CSM islam wystąpił epizodycznie: wykładowca astronomii wspomniał krótko o osiągnięciach muzułmańskich naukowców w Azji Środkowej. Nie wspomniał jednak, że ich praca była integralnie związana również z astrologią. Moja wyśmienita lektorka angielskiego (która mnie nauczyła pisać) profesor Betty M. Pex (1923–2017) nadmieniła raz, że Biblia Króla Jakuba (King James Bible) jest dla literatury angielskiej tym samym, czym Koran dla arabskiej poezji. Niewiele informacji, ale jakoś wbiło mi się w pamięć. Kolejne ziarno zostało zasiane.

W Stanford i Berkely pokazywały się światowe sławy, również od islamu. Niestety ani nie miałem czasu, aby się temu bliżej przyjrzeć, ani nie doceniałem wtedy jeszcze konieczności całościowego zgłębienia tematu. Brałem tylko to, co myślałem, że mnie interesuje, oraz to, co uważałem za konieczne dla moich głównych zainteresowań.

Wyjątkowo na Uniwersytecie Stanowym w San Francisco profesor Marion Rappe (1928–2005) uporządkował dla mnie świat dyplomacji bałkańskiej w XIX w. Pokazał z lotu ptaka wielką grę Wielkich Potęg – z dala od karzełków, malutkich, pokonanych narodów. Parafrazował księcia Ottona von Bismarcka: „Może Bałkany nie są warte kości nawet jednego pomorskiego grenadiera, ale są zawsze warte poznania, są bowiem sworzniem geopolitycznym między imperiami Habsburgów, Hohenzollernów, Romanowów i Osmanów. To klucz do XIX i XX wieku!". Profesor Rappe pokazał nam, jak padający turecki słabeusz nauczył się na przykładzie rozbiorów Rzeczypospolitej, jak uniknąć jej losów za pomocą gry dyplomatycznej, w ramach której Istambuł balansował na krawędzi, wyzyskując sprzeczność interesów Wielkich Potęg. Uznano, że nie jest w interesie doktryny równowagi sił, aby całkowicie zniszczyć Wysoką Portę. Robiono to bardzo powoli i po kawałku. Wiedza ta przydała mi się potem na Uniwersytecie Columbia, o czym za chwilę.

> „MOŻE BAŁKANY NIE SĄ WARTE KOŚCI NAWET JEDNEGO POMORSKIEGO GRENADIERA, ALE SĄ ZAWSZE WARTE POZNANIA, SĄ BOWIEM SWORZNIEM GEOPOLITYCZNYM MIĘDZY IMPERIAMI HABSBURGÓW, HOHENZOLLERNÓW, ROMANOWÓW I OSMANÓW. TO KLUCZ DO XIX I XX WIEKU!"

Oprócz wykładów profesora Rappe'a na studiach licencjackich moje zainteresowanie islamem do dużego stopnia nie było usystematyzowane. Na przykład uczęszczałem na zajęcia, seminaria i wykłady o imperium bi-

eprasa.pl 9fefc58b7b

zantyjskim, które prowadził profesor William N. Bonds w SFSU. Zazębiało się to naturalnie z dżihadem Arabów i Turków, ale nie było naświetlone adekwatnie do potrzeb. Te zajęcia o wiele bardziej przydały mi się do zrozumienia historii Rusi i Moskwy, niż do zgłębienia wczesnego kalifatu, a w tym napaści Umajjadów, wypraw Abysydów, walk Seldżuków, a w końcu i zwycięskiej ofensywy Turków osmańskich przeciw Bałkanom i samemu Konstantynopolowi. Żałuję, że wewnętrzne tarcia w Imperium Bizantyjskim nie zostały naświetlone bardziej w kontekście rozmaitych procesów zachodzących jednocześnie w światach islamu. Pomogłoby to na przykład lepiej zrozumieć kryzys ikonoklastyczny, w czasie którego niektórzy prawosławni Grecy usiłowali wprowadzić zaczerpnięte z islamu restrykcje na ukazywanie boskich wizerunków. Nie przypominam sobie też, aby mówiono o związku koncepcji kalifa (przywódcy politycznego i jednocześnie duchownego) z cezaropapizmem. Czy wpływały na siebie wzajemnie, czy też bizantyjski model powielono w Medinie? Niemniej jednak profesor Bonds nauczył nas, jak przez niemal 1000 lat Grecy stali na straży cywilizacji chrześcijańskiej i nie tylko przekazali nam skarby intelektualne i artystyczne antyku, ale również walczyli – w zasadzie osamotnieni – przeciwko zalewowi islamu.

Podobnie profesor J. Chester Cheng w SFSU w swoim seminarium o historii Azji relegował mahometanizm do elementu wtórnego, niejako obcego na Dalekim Wschodzie. W jego rozumowaniu miejscowi dawali od początku islamowi odpór. Szczególnie wiele czasu poświęciliśmy walce hindusów przeciwko mahometanom w Indiach. Jednocześnie jednak podziwialiśmy cywilizację materialną, którą islam tam wybudował. W naszych wykładach o Azji Południowo-Wschodniej profesor Cheng nie podkreślał dostatecznie, że religia muzułmańska rozszerzyła się w tamtym rejonie głównie jako wynik działalności kupiecko-misjonarskiej. Sprawiał wrażenie, że prymat wiódł dżihad. Prawie zupełnie zignorował też obecność mahometanizmu w Chinach. Jednak jego wiedza pozwoliła nam wkomponować islam jako element kolorowej mozaiki cywilizacji azjatyckich.

W Stanford i w San Francisco Bay Area (np. pamiętam świetną imprezę w Pałacu Sztuk Pięknych) słuchałem wykładów profesora Normana Daviesa. W islam raczej się nie zagłębiał, chociaż naturalnie wspominał chwałę oręża polskiego pod Wiedniem. Było to utrwalanie raczej mitów, których uczono mnie w domu, niż głębszy wgląd w tematykę, w której przecież profesor Davies się nie specjalizuje. Wyjątkiem były opowieści w Hoover Institution, głównie białych Rosjan, o oporze muzułmanów wobec bolszewików w Azji Środkowej.

Wśród plejady rozmaitych intelektualnych gwiazd pamiętam szczególnie jednego wybitnego specjalistę od islamu. Mimo że wieki XVI i XVII pozostawały poza zakresem moich badań, udało mi się wysłuchać odczytu odwiedzającego UC Berkeley światowej sławy osmanisty profesora Halila Inalcika (1916–2016), który przyjechał do nas z Uniwersytetu w Chicago. Ten trudny wykład zachęcił mnie do zgłębienia historii społecznej i gospodarczej Imperium Osmańskiego, którą do tej pory głupio ignorowałem, przypisując jej wtórną rolę do polityki zamiast równomierną, dopełniającą.

W Berkeley również miałem bezpośredni częsty kontakt z islamem w afgańskiej formie. Byłem wolontariuszem w tamtejszej komórce Amnesty International. Moja szefowa siostra Laola Hironaka (1925–2009) była uprzednio przełożoną w zakonie Sióstr Marianistek (Kongregacja Córek Maryi Niepokalanego Poczęcia/ Congregation of the Daughters of Immaculate Conception). Siostra Laola pozwalała mi – naturalnie zakulisowo – zajmować się sprawami polskimi, ale ze względu na konflikt interesów (bo jestem Polakiem) koncentrowałem się głównie na Afganistanie, Kambodży, Laosie i Wietnamie. Pomagałem w organizowaniu spotkań, konferencji i imprez związanych z Afganistanem. Poznałem przy tym dzieci okrutnie okaleczone przez sowieckie bomby, mudżahedinów, jak również niektórych przedstawicieli rodziny królewskiej z klanu Durani. Zgłosiłem się wtedy na ochotnika, aby walczyć w Afganistanie. Awanturę klecił pisarz Henryk Skwarczyński i organizacja emigracyjna Pomost. Na dowódcę naszego wyznaczony był Rafał Gan-Ganowicz. Na szczęście po jakimś czasie Ronald Reagan anulował wyprawę i wysłał rakiety Stinger zamiast nas.

Cdn.

Waszyngton, DC, 19 sierpnia br.

PADAJĄCY TURECKI SŁABEUSZ NAUCZYŁ SIĘ NA PRZYKŁADZIE ROZBIORÓW RZECZYPOSPOLITEJ, JAK UNIKNĄĆ JEJ LOSÓW ZA POMOCĄ GRY DYPLOMATYCZNEJ.

eprasa.pl 9fefc58b7b

KULTURA

Czytaj też:

Baśń o szesnastoletnim kapitanie 54

Fot. Adrian Ludek

eprasa.pl 9fefc58b7b

Toria to **wokalistka i autorka tekstów** poruszająca się w klimatach: dark pop, R&B i pop alternatywny. Zamiłowanie do miękkich wokali z gatunku R&B i muzyki elektronicznej zainspirowało ją do stworzenia minialbumu, czego efektem jest jej debiutancka EP-ka pt. „Noc". Minialbum zawiera 6 utworów w języku polskim. Autorką wszystkich tekstów i kompozycji jest Toria, a za produkcję, mix i master odpowiedzialny jest TomaShh.

NIE CHCĘ BYĆ w głównym nurcie

– Po prostu robię muzykę, którą lubię i którą chcę robić. Nie chcę się dopasowywać i iść z prądem. Preferuję alternatywę – mówi **Toria**, wokalistka i autorka tekstów, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Co masz do zaproponowania odbiorcom?
– Planuję połączyć muzykę elektroniczną z delikatnym wokalem. Mało wokalistek śpiewa w tym stylu w Polsce. Chciałabym, żeby takiej muzyki było więcej w naszym kraju.

– Dark pop?
– Można to tak nazwać. Preferuję różne odcienie popu, takie jak dream pop czy pop alternatywny. Łączę też R&B i soul. Te estetyki można znaleźć w mojej twórczości.

– Muzyka towarzyszy Ci od najmłodszych lat?
– Śpiewam od małolata, ale nigdy nie myślałam o tym na poważnie. Słucham muzyki rockowej, dlatego uczyłam się grać na gitarze. Najpierw zaczęłam grać na gitarze akustycznej, potem na gitarze basowej. Jednak w rocku zawsze mnie nosiło do śpiewania ballad niż do darcia mordy.

PLANUJĘ POŁĄCZYĆ MUZYKĘ ELEKTRONICZNĄ Z DELIKATNYM WOKALEM. MAŁO WOKALISTEK ŚPIEWA W TYM STYLU W POLSCE.

– W jakiej kapeli grałaś?
– Graliśmy covery. Grałam tam na basie.

– Czyje covery graliście?
– Metalliki, Red Hot Chili Peppers, Jona Bon Joviego.

– Czy Twoja osobowość pokrywała się z Twoim instrumentem?
– Bas mi całkowicie odpowiadał.

– Uspokajało Cię to?
– Zdecydowanie. Jestem introwertyczką. W zespole byłam wsparciem i nie grałam tam pierwszych skrzypiec. Nie miałem z tym problemu.

– Jaka muzyka inspirowała nastoletnią Torię?
– W trakcie nauki grania na gitarze trafiłam do zespołu wokalnego. Wraz z dziewczynami śpiewałyśmy muzykę gospel. W tamtym momencie bardzo mi się podobała muzyka soulowa. Ta zajawka została mi do dziś i poszłam w tę stronę.

PISZĘ TEKSTY NA PODSTAWIE MOICH SZCZERYCH I SILNYCH EMOCJI.

– Gospel to rozdział zamknięty w Twojej muzycznej karierze?
– To jest rozdział zamknięty.

– Gdzie obecnie rozwijasz swoje talenty artystyczne?
– Jestem z Poznania, mieszkam tam od 8 lat, a wcześniej mieszkałam w Gorzowie Wielkopolskim. Więcej czasu spędziłam w Gorzowie, ale bardziej identyfikuję się z Poznaniem.

– Podobno Gorzów ma już nie być Wielkopolski.
– Są już takie pomysły od dawna. Ma to sens, bo Gorzów nie leży w Wielkopolsce.

– Wybór Poznania był pokierowany studiowaniem?

eprasa.pl 9fefc58b7b

– Tak. Poszłam do studium piosenkarskiego, żeby rozwijać wokal.

– Jak wygląda proces rekrutacyjny do takiej szkoły?
– Są egzaminy wstępne, które trzeba zdać. Są pytania z kształcenia słuchu, trzeba było też zaśpiewać piosenkę. A na zajęciach rozwijałam słuch, emisję głosu, grę aktorską, taniec, historię muzyki rozrywkowej. Na studiach nauczyłam się wielu ciekawych rzeczy.

– Żyjesz już z muzyki?
– Muzyka to mój plan A. Mój plan B to informatyka, bo skończyłam informatykę stosowaną.

– Po co Ci muzyka? Informatycy zarabiają bardzo dobre pieniądze!
– Moje serce chce muzyki!

– Byłaś jedyną dziewczyną na kierunku.
– Nie za bardzo mi to przeszkadzało. Wcześniej w zespole rockowym, w którym grałam, też byli sami mężczyźni.

– Co łączy studiowanie informatyki stosowanej i naukę w studiu piosenkarskim?
– W studium piosenkarskim było mniej mężczyzn. A co łączy te dwie rzeczy? Organizacja czasu, tylko to mi przychodzi do głowy.

– Kto jest obecnie Twoją muzyczną inspiracją?
– Jorja Smith, Kelela, Abra, Raymon, Doja Cat. Te piosenkarki towarzyszą mi nieustannie. Inspirują mnie zdecydowanie zagraniczne artystki. Niestety w Polsce robi się mało takiej muzyki.

– I w tym wypatrujesz swojej szansy na sukces?
– Po prostu robię muzykę, którą lubię i którą chcę robić. Nie chcę się dopasowywać.

– Jeżeli słuchacze zaakceptują Cię jako osobę, ale nie zaakceptują Twojego stylu muzycznego, to co wtedy zrobisz?
– Jeżeli miałabym coś zmienić, to postawiłabym na muzykę elektroniczną, którą lubię. Jednak nie zostawiłabym R&B. Ta estetyka byłaby obecna w moich liniach wokalnych.

– Wiesz, że będzie Ci trudno?
– Dlaczego?

– Bo estetyki, które wcześniej wymieniłaś, mają małe szanse na zadomowienie się w głównym nurcie.
– Nie mam aspiracji, żeby trafić do głównego nurtu. Pasuję bardziej do alternatywy.

– Jak chcesz budować swoją pozycję w muzyce alternatywnej?
– Przez delikatny wokal z ozdobnikami, które są inspirowane R&B i soulem, a także przez elektroniczne bity – raz wolniejsze, a raz szybsze – zaczerpnięte z brytyjskiej muzyki.

– Do jakiej grupy docelowej chcesz trafić?
– Zdecydowanie do młodych ludzi. Tutaj zakres jest szeroki: 18–40 lat. Te dane czerpię z moich statystyk na Spotify.

– A możesz powiedzieć coś więcej na temat swoich słuchaczy?
– Są to zarówno kobiety, jak i męż-

EP-ka „Noc” – opisy utworów:

„Tonę” (dark pop, trap, elektroniczne R&B):
Tonę to piosenka o nieodwzajemnionym uczuciu i bezsilności w związku z zakończoną relacją z drugą osobą. O uczuciu tak silnym, że nie wiesz, kiedy minie, ale wiesz, że zostawi w tobie ślad.

„Zły” (dark pop, synthwave):
„Zły” opowiada o tym, że nie ma sensu trwać w relacji z niewłaściwym partnerem, starając się wszystko naprawiać. Bit połączony z delikatnym wokalem Torii tworzą darkpopową mieszankę.

„Rozmowa” (dream pop, pop R&B):
Piosenka o zauroczeniu. Gdy widzisz wszystko, jak przez różowe okulary, a w tle wydarzeń kończy się lato.

„Dylemat” (R&B, pop alternatywny):
Po latach nagrywania coverów popularnych popowych piosenek na YouTubie Toria postanowiła nagrać cover czegoś, co wtedy grało jej w duszy, a co było u nas mniej znane, czyli „Blue Lights” Jorji Smith. Poczuła, że jest to jej klimat, tak powstał pomysł tworzenia w klimacie R&B, a później powstał jej utwór „Dylemat”.

„Demony” (pop alternatywny, muzyka elektroniczna, electro pop):
„Demony” to utwór o sabotowaniu własnych działań, o walce z samym sobą, o prokrastynacji. Do piosenki został nakręcony teledysk.

„Nie gadamy” (R&B, pop alternatywny):
„Nie gadamy” opowiada o stanie, gdy nie masz ochoty wychodzić z domu, bo nie chcesz rozmawiać z ludźmi o swoich problemach.

eprasa.pl 9fefc58b7b

czyźni: pół na pół. Raczej osoby z dużych miast, którzy słuchają muzyki w języku angielskim.

– Czyli z graniem koncertów w trakcie dni miast byłoby ciężko.
– Z chęcią przyjęłabym takie zaproszenia, w takim środowisku spróbowałabym pomieszać mój autorski repertuar z coverami. Kiedyś systematycznie prowadziłam kanał youtube'owy, gdzie śpiewałam moje wersje przebojów m.in. Dawida Podsiadły czy Happysadu.

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE SŁUŻĄ MI DO PREZENTACJI MOJEJ TWÓRCZOŚCI. KAŻDY MUZYK POWINIEN ODNALEŹĆ SIĘ W TYM CYFROWYM ŚRODOWISKU.

– Kontynuujesz tę działalność?
– Już nie, skupiłam się na mojej twórczości, ale nigdy nie mów nigdy.

– Ile jest Wiktorii w Twojej osobowości scenicznej?
– Na pewno bardzo dużo. Piszę teksty na podstawie moich szczerych i silnych emocji.

– A muzyka?
– Za nią odpowiada Tomasz Kunysz. Poznaliśmy się w internecie. Na facebookowej grupie napisałam, że szukam producenta, i zgłosiło się kilka osób. Usłyszałam propozycje Tomka i stwierdziłam, że dobrym pomysłem będzie wspólne tworzenie utworów. Mieliśmy plan, żeby nagrać EP-kę, i to się udało, a co będzie dalej? Pożyjemy, zobaczymy.

– Czyli jest nadzieja, żeby po „Nocy" nastał „Dzień"?
– Możliwe, możliwe.

– Skowronek czy sowa?
– Jestem sową. Zdecydowanie lepiej funkcjonuję w nocy. Potrafię pisać teksty od 23 do 1 w nocy i kładę się spać o drugiej. Potrzebuję dużo snu i poranki nie są dla mnie. Bardzo często spóźniałam się na pierwsze lekcje, gdyż nie potrafiłam się wcześniej obudzić.

– Próbujesz swoich sił na TikToku?
– Tak. Staram się być na bieżąco z trendami.

– Jak alternatywna dusza odnajduje się w świecie mediów społecznościowych?
– Media społecznościowe służą mi do prezentacji mojej twórczości. Każdy muzyk powinien odnaleźć się w tym cyfrowym środowisku.

– Często muzyka się nie klika, a odbiorcy wolą, żeby muzycy pokazywali swoje życie.
– Też to zauważam.

– Jak się z tym czujesz?
– Idę swoją drogą i robię swoje.

– „Noc" jest bardzo smutna. Dlaczego?
– W tamtym okresie, kiedy pisałam teksty, moje emocje nie należały do najprzyjemniejszych. Nie chciałam wychodzić do ludzi. Źle się czułam. Pogubiłam się. Pewnie właśnie dlatego tak odbierasz tę EP-kę... Chcę jednak podkreślić, że nie zamykam się w takim smutnym klimacie na stałe.

– Myślałaś o byciu influencerką?
– To nie jest coś, czego bym chciała. Aktualnie nie odsłaniam się w mediach społecznościowych.

– Czy podjęłabyś współpracę z raperem?
– Nagrałam już gościnny refren u pewnego rapera. Na razie nie będę niczego zdradzać. Numer wyjdzie wkrótce.

– Patrząc na Twoje miejsce zamieszkania, z którym z poznańskich raperów chciałabyś nagrać kawałek?
– Z Paluchem.

– Jakie jest Twoje życie?
– Raczej spokojne. Lubię siedzieć w domu. Mam kotka, dzięki czemu zainteresowałam się kocim behawioryzmem. Ludzie w ogólnym rozrachunku nie lubią kotów, bo ich nie rozumieją. Jak już zrozumiesz kocie potrzeby, to miłość do zwierzątka jest gwarantowana.

– Jak się nazywa Twój kotek?
– Szajba. Ma trzy lata. Uwielbia się bawić i biegać.

MUZYKA TO MÓJ PLAN A. MÓJ PLAN B TO INFORMATYKA, BO SKOŃCZYŁAM INFORMATYKĘ STOSOWANĄ.

– Imię wiele o niej mówi.
– Zdecydowanie. Ma bardzo dużo energii. Czasem pokazuję ją na moim profilu na Instagramie.

– Filmy są dla Ciebie inspiracją?
– Zdecydowanie. Uwielbiam oglądać filmy i teledyski.

– Co ostatnio oglądałaś?
– Wkręciłam się w „Rodzinę Soprano". Tam nie leją wody, ja też nie potrafię jej lać. Moje myśli zawieram w kilku słowach i idę dalej.

Współpraca: Basia Milewska

eprasa.pl 9fefc58b7b

FILM

Baśń o szesnastoletnim kapitanie

Paweł Gabryś-Kurowski

W literaturze i sztuce od wieków istnieją pewne obrazy, tematy, obecne we wszystkich kulturach, nieustannie powracające. Przyciągają one nie tylko swą fabularną atrakcyjnością, ale również dlatego, że mówią niezwykle ważne rzeczy o otaczającym nas świecie i o naszym życiu. Nazywamy je toposami (inaczej loci communes – miejsca wspólne). Podróż jest wśród nich jednym z najdawniejszych i najważniejszych. Jej przedstawienia znajdujemy już w sumeryjskim „Eposie o Gilgameszu", Homerowej „Odysei" czy biblijnej „Księdze Wyjścia". Ulegały one różnym przekształceniom, przyjmowały nowe środki artystycznego wyrazu. Dziesiąta muza szczególnie chętnie do nich sięga, czego przykład stanowi film Włocha Mattea Garrone „Ja, kapitan".

eprasa.pl 9fefc58b7b

Fot. kadr z filmu

Garrone, urodzony w 1968 roku w Rzymie syn znanego krytyka teatralnego, zasłynął w wieku czterdziestu lat „Gomorrą", która przyniosła mu Grand Prix na festiwalu w Cannes. Jego prestiż i popularność potwierdziła adaptacja baśni Carla Collodiego „Pinokio" (z Robertem Begninim) i „Dogman" – historia „psiego" fryzjera. Rok temu przypomniał o sobie w Wenecji wspomnianym we wstępie tytułem, za który uhonorowano go na Lido Srebrnym Lwem za reżyserię, a potem nominowano do Oscara.

„Ja, kapitan" to dzieje niezwykle długiej wędrówki dwóch młodziutkich Senegalczyków, Seydou (Seydou Sarr) i Moussy (Moustafa Fall), którym marzy się kariera piosenkarzy. Takie marzenie można zrealizować tylko w świecie zachodnim, więc chłopcy uciekają z domu, obrawszy za cel Europę. Przed nimi ponad 5000 kilometrów i niebezpieczeństwa, którymi Seydou straszy matka (Khady Sy), gdy w przypływie szczerości szesnastolatek przyznaje się jej do swego marzenia. Taki zarys fabuły obiecuje niemało i trzeba przyznać, że obietnice te spełnia. Scenariusz, napisany przez samego reżysera i jego trzech współpracowników, łączy w sobie kilka perspektyw. Po pierwsze, w bardzo realistyczny sposób przedstawia procedury związane z nielegalną przecież podróżą, warunki wędrówki, przeszkody, na które napotykają nastolatkowie oraz ich przygodni towarzysze. Realizm ten pociąga za sobą ogromny ładunek okrucieństwa – nielegalne eskapady to znakomity interes, a ich uczestnicy zdani są na łaskę i niełaskę (częściej na tę drugą, co Garrone pokazuje) pośredników i przewoźników.

GARRONE I JEGO EKIPA NADAJĄ SWEMU DZIEŁU CHARAKTER PRZYGODOWY, CO SPRAWIA, ŻE CHWILAMI PRAWDOPODOBIEŃSTWO ZOSTAJE WZIĘTE W CUDZYSŁÓW.

Filmów o uchodźcach nakręcono wiele, wystarczy wspomnieć „Fuocoammare. Ogień na morzu" Gianfranca Rosiego (2016) czy „Zieloną granicę" Agnieszki Holland. „Kapitanowi" groziło więc, że powielając istniejące szablony, zginie wśród podobnych sobie produkcji. Tyle że Garrone i jego ekipa nadają swemu dziełu charakter przygodowy, co sprawia, że chwilami prawdopodobieństwo zostaje wzięte w cudzysłów. Co ciekawe, ten cudzysłów jest bardzo delikatny – szczęśliwe zbiegi okoliczności ratujące Seydou i Moussę sąsiadują ze scenami tortur, ale całość składa się na trzymającą w napięciu i budzącą grozę afrykańską baśń, niepozbawioną jednak nadziei. Młodzi Senegalczycy, ruszając z Dakaru, traktowali swą eskapadę jako przygodę i poniekąd jest ona nią, choć dreszcz emocji bywa bardzo mocny, a spotykane po drodze niebezpieczeństwa realne; niemniej bohaterowie, a wraz z nimi widzowie, nie tracą wiary w pomyślne zakończenie historii.

KADRY SĄ NASYCONE INTENSYWNYMI KOLORAMI, MIJANE MIEJSCA PRZYKUWAJĄ WZROK, NAWET PUSTYNIA OLŚNIEWA KSZTAŁTAMI WYDM, FAKTURĄ I ŻYWOŚCIĄ BARW.

Takiemu prowadzeniu fabuły i takiemu jej odbiorowi sprzyja sposób, w jaki Paolo Carnera fotografuje świat. Kadry są zawsze nasycone intensywnymi kolorami, mijane miejsca przykuwają wzrok, nawet pustynia, tak wroga człowiekowi,

eprasa.pl 9fefc58b7b

olśniewa kształtami wydm, fakturą, bogactwem form skalnych i żywością barw. Oczywiście, obcujemy też z obrazami strasznymi, takimi jak więzienna sala tortur czy ciasnota w zdezelowanych ciężarówkach do przewozu migrantów, czy na pokładzie zardzewiałego statku w sekwencji morskiej, ale i wtedy może ukoić spojrzenie obraz nieprzeniknionych fal wypełniający cały ekran.

A dodać trzeba jeszcze jedno: co pewien czas scenarzyści wzbogacają fabułę i obraz przedstawionego świata motywami wizyjnymi. Ponieważ są nieliczne, w pierwszej chwili budzą niejednoznaczne uczucia: z jednej strony przynoszą ulgę umysłowi zmęczonemu rzeczywistością pełną grozy, z drugiej wydaje się ich zbyt mało, by móc zrozumieć ich prawdziwą rolę. Tyle że obrazy wydające się snami, mające charakter niemal lewitacji po pierwsze przypominają o mocy marzeń, a Seydouo i Moussa wyruszyli, by je ścigać, po drugie motywy te zostały poprzedzone sceną obrzędu szamańskiego, w którym chłopcy uczestniczą przed podróżą, oraz ich modlitwą na cmentarzu, mającą ubłagać duchy przodków i zapewnić ich opiekę, a w konsekwencji – osiągnięcie celu. I myślę, że właśnie tak można traktować pozorną niekonsekwencję w ukazywaniu świata – „Ja, kapitan” naprawdę ma w swym szkielecie cechy baśni, więc realizm nie stanowi jedynego sposobu obrazowania świata, ważny za to jest przekaz z owej baśni płynący.

Zarówno krótkie zapowiedzi, jak i rozwinięte recenzje nowego filmu Garronego nazywają „Kapitana” współczesną „Odyseją”. Nie ulega wątpliwości, że kino drogi, a „Ja, kapitan” ma jego cechy, zawsze w jakiejś mierze odnosi się do eposu Homera – w końcu łączy je topos podróży. I da się dostrzec u Garronego kilka odcieni tęsknoty bohaterów za domem, za rodzinami: matkami, rodzeństwem. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę cel podróży, a nie jest nim dom, lecz inne miejsce, wymarzone, obiecujące spełnienie marzeń, wręcz mityczne, da się tu znaleźć ślady inspiracji dziejami wędrówki Mojżesza i jego ludu Ziemi Obiecanej. Można się dopatrzeć nawet… cudu wody tryskającej ze skały. Tak czy inaczej, nie ulega wątpliwości – twórcy osnuli akcję filmu na toposie, i to jednym z najbardziej fundamentalnych. I przyznam, że naprawdę udało się im ukazać rozmaite aspekty i głębię tego motywu.

Pozostaje kwestia tytułu. Przez prawie całą projekcję powątpiewałem w jego sensowność. Kto niby ma być tym kapitanem? Seydou? Zbyt często los nim miota, zbyt często nie udaje mu się nawigować swej „żeglugi”. Moussa? Tym bardziej nie. Z kolei żaden dorosły bohater nie odgrywa znaczącej roli w przygodzie chłopaków na tyle długo, by go kapitanem nazwać. Dopiero ostatnia sekwencja dała mi odpowiedź. I wtedy przypomniała mi się z czasów lektur podróżniczych powieść Jules’a Verne’a „Piętnastoletni kapitan”, o tytułowym nastolatku, którego dramatyczny zbieg okoliczności stawia wobec konieczności objęcia dowództwa statku, zresztą o znaczącej nazwie „Pielgrzym”. W filmie Garronego taka sytuacja również się pojawia. Wpisuje to jego najnowsze dzieło w nurt młodzieńczej robinsonady, w której pojawiające się niebezpieczeństwa urealniają zagrożenia, z którymi styka się każdy z nas. I jak w powieściach Verne’a, jak w klasycznych baśniach, przygoda wymusza dojrzewanie, a więc przemianę, zmaganie się z bólem, strachem czy mrokiem. Doświadczenia te często pozostawiają rany, którymi płacimy za dojrzałość, pomagają nam jednak w przekraczaniu siebie i pokonywaniu przeciwności. A to właśnie stanowi temat każdej dobrej baśni. Według mnie Garronemu taką historię udało się nam opowiedzieć.

„Ja, kapitan”; reż. Matteo Garrone; wyk.: Seydou Sarr, Moustapha Fall; Włochy, Belgia, Francja 2023.

DOŚWIADCZENIA POZOSTAWIAJĄ RANY, POMAGAJĄ NAM JEDNAK W PRZEKRACZANIU SIEBIE I POKONYWANIU PRZECIWNOŚCI. A TO WŁAŚNIE STANOWI TEMAT KAŻDEJ DOBREJ BAŚNI.

ZARÓWNO KRÓTKIE ZAPOWIEDZI, JAK I ROZWINIĘTE RECENZJE NOWEGO FILMU GARRONEGO NAZYWAJĄ „KAPITANA” WSPÓŁCZESNĄ „ODYSEJĄ”.

eprasa.pl 9fefc58b7b

MIX PŁYT

Bartosz Boruciak

KANYE WEST, TY DOLLA $IGN – VULTURES 2

WYD. YZY

W niektórych przypadkach warto oddzielać dzieło od artysty. Od kilku lat West nie ma pozytywnego wizerunku w mediach. Przy tym systematycznie nagrywa i wydaje płyty, na których wciąż pobrzmiewa pierwiastek geniuszu faceta, który wprowadził wiele innowacji do muzyki rozrywkowej. Nowe wydawnictwo raczej nie pozyska nowych odbiorców, ale fani rapu powinni być zadowoleni. Kanye nie schodzi poniżej pewnego poziomu, jednak o przełomowości jego pierwszych płyt nie ma tutaj mowy. Potraktujcie tę płytę jako ciekawostkę, to będzie najlepsze rozwiązanie.

ZBUKU – GODDAMNIT.

WYD. YOUNG BLOOD

Niegdyś ulubiony raper Roberta Lewandowskiego podsumowuje dekadę działalności w rapowej grze. Obecnie Zbuku to dojrzały trzydziestolatek, który już wstał z ławki i który przekazuje treści tym, którzy jeszcze na niej siedzą albo spędzają czas przed komputerem lub ze smartfonem w ręku. Dużo śpiewania, dużo melodii, co sprawia, że krążek może trafić na różne pola eksploatacji. Muzycznie Zbuku próbuje uderzyć w młodszą publiczność i może mu to się udać. Występy gościnne dodają dużo wartości (Tau, Vixen). Warto sprawdzić, bo Zbuku ma jeszcze wiele do powiedzenia.

TAU – REMEDIUM II

WYD. BONZON RECORDS

Minęło dziesięć lat od pierwszej części płyty, która była przełomem dla rapera. Przez dekadę polski rap zmienił się diametralnie. Inne brzmienia są na topie, inne tematy brane są na tapet. A jak w tym wszystkim odnajduje się Tau? Na pewno nie są to utwory, które podbiją główny nurt. Mocno hiphopowa płyta, która nie zaleje TikToka. Jednak tu chodzi o coś innego i w tym wszystkim najważniejszy jest rap. Kwintesencją tej płyty jest utwór „Nie znamy się” z gościnnym udziałem Łony. Polecam!

FROSTI – DYLEMATY

WYD. SP ZOO

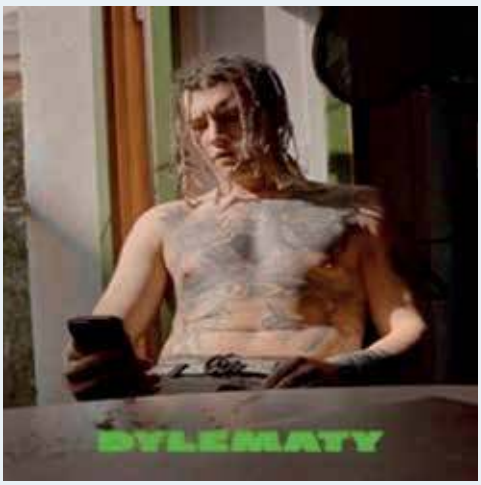

Pomieszanie ulicznego sznytu z trapową stylistyką. Trochę surowych linijek ze śpiewanymi refrenami. Wszystko ze wszystkim. Czy to jest dobry ruch? Wszystko zależy od słuchacza. W EP-ce dostrzegam dużo walorów, które potwierdzają umiejętności rapera, ale w niektórych momentach chaos przesłania mi to wszystko. Słowa uznania należą się za słuszną krytykę polskiej sceny rapowej, gdzie o wartościach dawno już zapomniano. Weterani chcą się ogrzać w blasku młodych raperów, a Ci uważają się za herosów, którzy chcą podbić Olimp. No cóż… takie są prawa rynku. A ja czekam na więcej.

eprasa.pl 9fefc58b7b

CO NAM MÓWI DZIŚ KS. JERZY?

Człowiek i godność

Piotr Grzybowski

Polski sierpień to czas cudów: warszawskich wspomnień powstańczych, radzymińskiej rocznicy pognania bolszewii, narodzin Solidarności. Każde z tych wydarzeń niesie w sobie historię, której konsekwencją stawała się wolność Polski i Polaków. Tym „sierpniom" – pełnym bólu, łez i krwi, mobilizacji i nadludzkiego wysiłku, pełnym nadziei i wiary w zwycięstwo – zawdzięczamy naszą tożsamość.

W sierpniu '80 roku ksiądz Jerzy Popiełuszko przekroczył bramę Huty Warszawa. Trochę przypadkowo, bo gdy robotnicy prosili biskupów o przysłanie do ich zakładu pracy kapłana, właśnie On – jak powiedział – „się napatoczył".

Zderzył się ze światem innym, niż znał dotychczas. Huta, prości ludzie, często ze wsi, indoktrynowani komunistyczną ułudą lepszego życia w mieście, wyjątkowością znaczenia swojej klasy. De facto traktowani jak bezwładna, poddańcza masa, narzędzie antyludzkiego systemu władzy. Wśród tych ludzi, tak boleśnie obdartych z godności, którzy wówczas swój protest skierowali przeciw złu niszczącemu człowieka i jego godność, ksiądz zaczął czuć odpowiedzialność – za ich życie, ale i za ich drogę do Boga.

Często pojawia się pytanie: Jaki byłby ksiądz Jerzy bez Solidarności i jaka byłaby Solidarność bez księdza Jerzego?

Brama Huty zamknęła się za nim nie tylko fizycznie, ale też symbolicznie jako znak braku odwrotu, jako zadanie do wykonania. Wśród ludzi, których walka o swoje człowieczeństwo i godność popychała do heroizmu, uświadomił sobie po raz pierwszy swoją rolę. Przypadło mu z ojcowskim, dojrzałym spokojem wziąć odpowiedzialność za człowieka, robotnika, za jego rodzinę.

– Powstanie Solidarności to powstanie godności – mówił ksiądz Popiełuszko. To powstanie społeczeństwa, Narodu i każdego z nas z osobna. Nie homo sovieticus, lepkiego od strachu i niewolniczego myślenia zatruwającego społeczny genom. Nie ma wątpliwości, że Huta i Solidarność stały się zapalnikiem dla przemiany księdza Jerzego i wejścia w nową rolę: nie tylko kapłana, ale też przewodnika, ojca. Czy był do tego przygotowany? Pewnie wówczas nie był nawet świadom swojej roli w tym Bożym planie, choć bardzo praktycznie go odczytał.

„Zobaczyłeś i uwierzyłeś". Walka księdza o człowieka i jego godność nie była jedynie teorią, ale materializowała się w każdym spotkaniu z hutnikiem, stoczniowcem, górnikiem czy lekarzem, z każdym dotknięciem spracowanej ręki, spojrzeniem w oczy sponiewieranego pracownika. Nie szukał pretekstu do wygłaszania opinii, jak powinno być. Za swoim mistrzem – Prymasem Tysiąclecia – głosem Wielkiej Nowenny otwierał się na ludzi, na wejście w dialog z osobą świecką, na dostrzeganie jej fundamentalnej roli i znaczenia w życiu społecznym.

Ktoś podliczył, że w kazaniach księdza Jerzego słowo „człowiek" padało najczęściej. A przecież człowiek jest naczelnym dziełem Boga, Jego podobieństwem.

Ktoś podliczył, trochę nawet „zdziwiony" swoim odkryciem, że w kazaniach księdza Jerzego słowo „człowiek" padało najczęściej. A przecież człowiek jest naczelnym dziełem Boga, Jego podobieństwem, z niezbywalnym prawem do życia i godności, które dał sam Stwórca.

Ksiądz Jerzy przyjął zlecone Boże dzieło opieki nad owczarnią. Pielęgnował ją, skrapiając wszystkich dokoła „tlenkiem wolności", który wokół rozpylał. – Zachować godność to móc powiększać dobro i zwyciężać zło – to kierować się w życiu sprawiedliwością, to dbać o swoją – ludzką godność... – przypominał. Właśnie ten fenomen: człowiek – rodzina – wspólnota – społeczeństwo – naród, spajał ksiądz Popiełuszko.

Prawda o nas – ludziach, społeczeństwie i Narodzie nie zmieniła się. Słowa księdza Jerzego oraz jego nauczanie są – szczególnie dziś – rozpaczliwie aktualne. Zadaniem dla nas jest je czytać, rozumieć i nimi żyć. Te słowa powinny stać się realnym programem naszego życia. Brutalnie bolesnym, ale głęboko potrzebnym. Bo „życie trzeba godnie przeżyć, bo jest tylko jedno". I jest Bożym darem.

eprasa.pl 9fefc58b7b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Tadeusz Płużański

Sądowy morderca „Inki”

Jak trudno umierać, gdy naście masz lat. Jak trudno zaśpiewać piosenkę. Gdy z pąka dopiero rozwijasz się w kwiat. Ze śmiercią wędrując pod rękę – śpiewa Andrzej Kołakowski w pięknej piosence „Inka”. 17-letnia Danuta Siedzikówna umierała 28 sierpnia 1946 r. po wyroku śmierci, którego żądał występujący w roli prokuratora ubek Wacław Krzyżanowski.

Krzyżanowski był pierwszym stalinowskim „prokuratorem”, któremu wymiar sprawiedliwości III RP w 1993 r. zarzucił mord sądowy – właśnie na sanitariuszce antykomunistycznej 5. Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”.

13 października 2014 r. Krzyżanowski został pochowany z wojskową asystą honorową na Cmentarzu Komunalnym w Koszalinie. „Był żołnierzem Ludowego Wojska Polskiego, uczestniczył w bitwie pod Lenino” – wyjaśniał kpt. Zbigniew Izraelski z 8. Koszalińskiego Pułku Przeciwlotniczego.

„Wstyd. Zażądałem wyjaśnień od dowódcy Garnizonu Koszalin, który podjął taką decyzję” – napisał ówczesny minister obrony Tomasz Siemoniak. I w trybie natychmiastowym odwołał ze stanowisk dowódcę oraz komendanta garnizonu Koszalin. Żart polegał na tym, że panowie wkrótce zostali do pracy przywróceni.

„W dniu 10 października 2014 r. odszedł od nas na zawsze nasz Kochany, Wspaniały Tatuś, Teść, Dziadek i Pradziadek płk WP w st. spoczynku, prawnik Wacław Krzyżanowski, weteran II wojny światowej, Sybirak, inwalida wojenny” – czytałem nekrolog w „Głosie Koszalińskim”. Bo Krzyżanowski służbę wojskową rozpoczął w 1943 r. w Dżambule (Kazachstan), należał do dywizji kościuszkowskiej, w ramach której walczył pod Lenino. Potem ten zesłaniec syberyjski stanął po stronie swoich czerwonych prześladowców. Po sprawie „Inki” awansował, by w 1976 r. przejść do rezerwy w stopniu pułkownika.

Z oskarżania „Inki” tłumaczył się typowo: „Byłem młody. Wcześniej nie brałem udziału w żadnej sprawie sądowej. Zostałem skierowany na proces przypadkowo, bez przeszkolenia i przygotowania”. Faktycznie – nawet w świetle komunistycznej sprawiedliwości (czytaj: bezprawia) Krzyżanowski nie mógł występować przed sądem. Nie był prokuratorem, bo nie ukończył (a nawet nie zaczął) studiów prawniczych i rzecz jasna nie zrobił także aplikacji. Jednak dla komunistycznych pryncypałów ważna była pełna dyspozycyjność i zaliczenie szkoły oficerów bezpieczeństwa w Łodzi.

Czy Krzyżanowski nie miał doświadczenia? 3 sierpnia 1946 r., dwie godziny przed sprawą „Inki”, żądał kary śmierci dla 19-letniego Hansa Baumana, gdańskiego Niemca, dlatego że zdobycznym karabinem upolował sarnę. Miał to być czyn antypaństwowy. Z akt wynika, że Krzyżanowski samodzielnie przeprowadził śledztwo i sformułował akt oskarżenia. Baumana rozstrzelano 9 sierpnia 1946 r. To druga zbrodnia sądowa w karierze tego „prokuratora”.

Przed sądem III RP Krzyżanowski tłumaczył się, że „stalinowski system prawny miał charakter przestępczy”, ale już on – funkcjonariusz tego systemu – przestępcą oczywiście nie był. Sąd III RP dał temu wiarę i uniewinnił mordercę.

eprasa.pl 9fefc58b7b

Świat wokół nas

Festiwal NIEBIAŃSKICH zjawisk

Kiedy tysiące amatorów astronomii – zwykle tymczasowych – szykowało się do obserwowania spadających gwiazd, nasze niebo sprawiło nie lada niespodziankę. Znów nie tylko w całej Polsce, lecz także w krajach bardziej na południu Europy **mogliśmy obserwować** przepiękną zorzę polarną. Jest to dosyć rzadkie zjawisko w naszym kraju, choć ostatnie miesiące pokazują, że możemy je obserwować ze średnią częstotliwością raz na dwa, trzy tygodnie.

Paweł Pietkun

Zorza nad Fromborkiem

Fot. Maria Pietkun

eprasa.pl 9fefc58b7b

Wcześniej – również z Polski – oglądaliśmy zjawisko ostatniej lipcowej nocy. Zorze zawdzięczamy 25. cyklowi aktywności słonecznej, który właśnie osiągnął swoje maksimum, a całą masę innych zjawisk – po prostu szczęściu, bo takie nagromadzenia widowisk na niebie są niezmiernie rzadkie. A już niedługo czeka nas... kolejne zaćmienie Księżyca.

Zaćmienie i kamienie z nieba

Zaćmienie Księżyca, które nastąpi 18 września, choć całkowite, w Polsce będzie widoczne jedynie w części, bo Srebrny Glob całkowicie schowa się w cieniu Ziemi, kiedy będzie już nad Europą Zachodnią, a z perspektywy połowy Polski – za zachodnim horyzontem. Nie odbiera mu to jednak zupełnie uroku – warto wówczas uzbroić się w telefon lub aparat fotograficzny. Zdjęcia zaćmień Słońca i Księżyca, które zaczynają się lub kończą nad horyzontem, zwykle są najpiękniejsze – i otrzymują najwięcej nagród w astronomicznych konkursach fotograficznych. Samo zaćmienie zacznie się dość późno w nocy, bo o godz. 2.41 – jeszcze wtedy będzie to faza półcieniowa, w której Luna zmieni kolor na krwistoczerwony, chowając się w półcieniu Ziemi. Dwie godziny później tarcza Księżyca zacznie znikać zasłaniana przez cień naszej planety, osiągając maksimum o 4.45 – niestety dla nas Księżyc będzie już pod horyzontem.

Nie w pełni widoczne zaćmienie Księżyca nie oznacza, że ta noc będzie mało ciekawa – wciąż mamy ogromne szanse na zorze polarne. Obecna aktywność słoneczna sugeruje, że czeka nas w tym roku jeszcze niejedna zorza – być może właśnie tej nocy. Zresztą wytrwali obserwatorzy wciąż mogą liczyć na pozostałości roju Perseidów, tego samego, który rozświetlał nasze niebo nocą z 12 na 13 sierpnia, kiedy nad Polską widziano nawet sto meteorów... na godzinę. Trzeba bowiem pamiętać, że tegoroczny rój był bardziej aktywny niż zwykle. Tegoroczna średnia częstotliwość spalania się w ziemskiej atmosferze kosmicznych drobin to 6–15 w ciągu każdych dwóch, trzech minut. Oczywiście im dalej byliśmy od cywilizacji, tym więcej można było ich zaobserwować, choć te najjaśniejsze zjawiska – często iskrzące, a zawsze zostawiające na niebie smugę dymu – było widać nawet w miastach.

Perseidy (nazwa roju meteorytów pochodzi od gwiazdozbioru Perseusza, z którego wydają się wpadać w ziemską atmosferę) – choć obserwujemy je od starożytności – są związane z odkrytą pod koniec XIX wieku kometą Swift-Tuttle. Sama kometa pojawia się w pobliżu Ziemi regularnie, choć nieczęsto, bo raz na 133 lata. Jednak na jej orbicie znajduje się masa kosmicznego gruzu, najczęściej wielkości ziarenek piasku, które wpadając w atmosferę z rekordową prędkością 59 km na sekundę, widowiskowo się spalają – to pozostałości po zderzeniach komety z innymi mniejszymi ciałami niebieskimi. Regularność roju Perseidów bierze się stąd, że co roku przecinamy ich niezmienną i zatłoczoną orbitę.

Choć maksimum roju następuje zawsze w połowie sierpnia, spadające meteory możemy zobaczyć jeszcze w połowie września, kiedy obserwuje się nawet 8–10 zjawisk na godzinę. Tak, jeżeli wierzyć prognozom obserwatoriów astronomicznych, może być również w tym roku, co oznaczałoby, że spadającą gwiazdę będziemy widzieć średnio co kilka minut.

Piękne zorze z czarnych plam

Jednak tegoroczne show skradła meteorom bezspornie jedna z najjaśniejszych widocznych nad Polską w ostatnich dekadach zórz polarnych. Również ostatniej nocy lipca polskojęzyczny internet rozgrzał się do czerwoności, a serwisy społecznościowe wypełniły się bajecznie kolorowymi zdjęciami zorzy polarnej. Jej jasność była tak duża, że nie przegapili jej również ci, którzy się jej nie spodziewali, a nawet ci, którzy – o zgrozo! – rzadko spoglądają w niebo. Choć zwykle na naszej szerokości geograficznej trudno jest rozpoznać kolory zjawiska, tym razem wyraźnie było widać róż, czerwień i zielenie. To wzbudzone atomy gazów znajdujących się w górnych warstwach ziemskiej atmosfery, w które uderzały elektrycznie naładowane cząstki słonecznego wiatru wyrzuconego dwa dni wcześniej wskutek potężnej erupcji materii słonecznej. Pozostałość tego wybuchu jeszcze przez wiele dni

CHOĆ MAKSIMUM ROJU PERSEIDÓW NASTĘPUJE ZAWSZE W POŁOWIE SIERPNIA, SPADAJĄCE METEORY MOŻEMY ZOBACZYĆ JESZCZE W POŁOWIE WRZEŚNIA.

eprasa.pl 9fefc58b7b

mogliśmy obserwować w postaci dość sporej plamy na powierzchni naszej gwiazdy dziennej.

Plamy słoneczne to kolejna atrakcja dla amatorów astronomii. Niewielki teleskop lub luneta, koniecznie wyposażone w filtr słoneczny, pozwalają oglądać pooraną czarnymi plamami tarczę słoneczną. Plamy na Słońcu przez wiele dekad wypierali średniowieczni uczeni, którzy byli przekonani, że ciało tak doskonałe jak nasza gwiazda nie może posiadać żadnych plam. W ich mniemaniu były to jedynie zjawiska atmosferyczne zachodzące na Ziemi. Plamy „przywiązał" do Słońca Galileusz, którego nie raz próbowano potępiać za nowatorskie podejście do obserwacji. To właśnie włoskiemu astronomowi Mikołaj Kopernik zawdzięcza rozpropagowanie swojej książki „O obrotach sfer niebieskich" i teorii heliocentrycznej, która zrewolucjonizowała astronomię. Legenda głosi, że Galileusz musiał w końcu zaprzeczyć teorii Kopernika, klęcząc przed Świętym Oficjum i prosząc, żeby jego „herezje" zostały mu wybaczone. Kiedy akt łaski się wypełnił, Galileusz, wstając, powiedział „a jednak się kręci", co do dzisiaj z wdzięcznością pamiętają mu zarówno Włosi (większość z nich przekonuje w rozmowach, że ten fakt rzeczywiście się wydarzył, i że nie jest to legenda), jak i europejscy naukowcy. Galileusz poświęcił życie, broniąc teorii kopernikańskiej i udowadniając ją obserwacjami. To on odkrył najjaśniejsze księżyce Jowisza oraz fazy Wenus i Merkurego (co świadczyło, że znajdują się pomiędzy Ziemią a Słońcem). Obserwowane przejścia Merkurego przed tarczą słoneczną stały się dowodem na to, że plamy na słońcu mają pochodzenie słoneczne – nie ziemskie. Dopiero kilkaset lat później powiązano je z regularnymi cyklami aktywności magnetycznej naszej gwiazdy i zorzami polarnymi, które wywołuje.

Aktywność naszej gwiazdy rośnie co 11 lat. Jeżeli przegapimy zorzę nad Polską w tym roku, to na kolejne zjawiska tego typu będziemy musieli poczekać przynajmniej do 2035 roku. Wiadomo już, że kolejne maksimum cyklu może nie być aż tak widowiskowe. Warto więc przeglądać alerty zorzowe w internecie.

Ostatnia letnia superpełnia

Sierpień pożegnał nas również czwartą w tym roku superpełnią Księżyca. Superpełnią, która jednocześnie była Niebieskim Księżycem – o czym za chwilę. Superpełnia to zjawisko, którym określamy moment, kiedy Księżyc w pełni jest jednocześnie najbliżej Ziemi, w apogeum. W rzeczywistości orbita naszego naturalnego satelity nie jest idealnie okrągła, ma raczej kształt elipsoidalny, więc pełnie, w czasie których Luna jest jednocześnie najbliżej Ziemi, nie zdarzają się często. To ważne momenty – wówczas możemy obserwować powierzchnię Księżyca z nieco większą dokładnością. Faktycznie Srebrny Glob jest na niebie większy niż zwykle i nierzadko jaśniejszy. Dzięki takim pełniom – zdarzają się dość regularnie – lepiej radzili sobie pradawni rybacy, rolnicy zaś mogli kontynuować nocą zbieranie plonów. Jasniejsze niż zwykle światło naszego satelity wypływało na jesiotry, które chętniej żerowały w nocy – stąd od stuleci ostatnia pełnia sierpnia nosi również nazwę właśnie Księżyca Jesiotrów.

Nazwa Niebieski Księżyc nie oznacza wcale koloru naszego naturalnego satelity. Jest związana z rzadkim zjawiskiem, kiedy podczas jednej pory roku można zaobserwować cztery, a nie trzy pełnie. Ta dodatkowa jest właśnie „niebieska" – od nieba, nie koloru.

> AKTYWNOŚĆ NASZEJ GWIAZDY ROŚNIE CO 11 LAT. JEŻELI PRZEGAPIMY ZORZĘ NAD POLSKĄ W TYM ROKU, TO NA KOLEJNE ZJAWISKA TEGO TYPU BĘDZIEMY MUSIELI POCZEKAĆ PRZYNAJMNIEJ DO 2035 ROKU.

Przygotowując się na jesień, nie możemy zapomnieć o planetach, które ustawiają się wyjątkowo korzystnie. W sierpniu mogliśmy obserwować koniunkcję Jowisza i Marsa – największej i najbliższej nam planety Układu Słonecznego, którą w ciągu najbliższych dekad ludzkość chce zbadać i skolonizować. We wrześniu do parady planet dołączy Saturn ze swoimi pięknymi pierścieniami, które można oglądać już przez lunetę lub dobrą lornetkę. I Jowisz (oraz jego księżyce), i Saturn do końca jesieni będą dostępne obserwującym praktycznie przez całą noc. Warto im się przyjrzeć. Chyba że naszą uwagę odwróci kolejna widowiskowa zorza.

eprasa.pl 9fefc58b7b

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Najpierw wiosną, a potem latem 1988 roku przez kraj przetoczyła się fala strajków i protestów po kolejnej podwyżce podstawowych produktów, m.in. żywności, benzyny czy biletów na środki transportu miejskiego.

Tomek: – Pojechałem wówczas na kilka dni do strajkującej Stoczni Gdańskiej. Miałem pismo wystawione przez „Przegląd Katolicki". Proszono w nim, by udzielić mi pomocy w dostaniu się do niej. W kościele św. Brygidy w Gdańsku dostałem akredytację. Z nią bocznym wejściem udało mi się dostać na teren Stoczni. Tam już było kilku moich kolegów fotografów, więc zostałem potraktowany jak „swój".

– Zrobił Pan serię zdjęć, którą do dziś wykorzystujemy w publikacjach i która stanowi niezwykłą dokumentację tamtych wydarzeń.

– Wówczas jednak cenzura puściła tylko jedno moje zdjęcie ze Stoczni. W „Przeglądzie Katolickim" opublikowano fotografię przedstawiającą klęczących, modlących się ludzi.

– Na pewno nie puściłaby tego, które my dziś publikujemy, a które przedstawia moment składania kwiatów pod pomnikiem Poległych Stoczniowców 1970 roku.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 9fefc58b7b

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

„S” modliła się W SANKTUARIUM MARII ŚNIEŻNEJ

Region Dolny Śląsk NSZZ „S” zainaugurował obchody 44. rocznicy powstania związku zawodowego Solidarność od uroczystej Mszy Świętej, którą celebrowano 17 sierpnia na Górze Iglicznej.

Nabożeństwo odbyło się w sanktuarium Matki Bożej Przyczyny Naszej Radości „Marii Śnieżnej”. W uroczystościach wzięli udział związkowcy z Dolnego Śląska na czele z prezydium – przewodniczącym Kazimierzem Kimsą, jego zastępcami – Grzegorzem Makulem i Piotrem Majchrzakiem – oraz członkiem prezydium Tomaszem Wójcikiem.

Fot. Marcin Raczkowski

Po Mszy Świętej związkowcy udali się do Marianówki na piknik przygotowany przez leśników z Międzyregionalnej Sekcji Pracowników Leśnictwa NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk.

Sanktuarium „Marii Śnieżnej” jest to miejsce szczególne dla opozycji antykomunistycznej. W latach 70. w tych okolicach gromadzili się działacze walki o niepodległość z Polski i Czechosłowacji, a od 1986 roku ksiądz Adam Dyczkowski organizował tutaj marsze gwiaździste, podczas których ludzie przybywali na Górę Igliczną, unikając w ten sposób zatrzymania przez milicję.

W 2022 roku za sprawą dolnośląskiej Solidarności do miejscowego sanktuarium „Marii Śnieżnej” sprowadzone zostały relikwie patrona Solidarności bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Wówczas poświęcono krzyż, w którym znajdowały się kawałki drewna z trumny Patrona Solidarności.

W OBRONIE MIEJSC PRACY PKP CARGO

Region Ziemia Przemyska NSZZ „Solidarność” zorganizował 13 sierpnia pikietę w obronie miejsc pracy w związku ze zwolnieniami przeprowadzanymi w zakładzie PKP Cargo Południowy Zakład Spółki obszar stacji Żurawica-Medyka.

Związkowcy mieli ze sobą petycję zaadresowaną do ministra infrastruktury, prezesa PKP oraz prezesa PKP Cargo, którą złożyli pod urzędem miasta w Przemyślu oraz biurem poselskim posła PO Marka Rząsy.

– Żądamy zaprzestania działań zmierzających do likwidacji miejsc pracy dla zatrudnianych na tym terenie ponad 400 osób, skazując pracowników i ich rodziny na wykluczenie społeczne – podkreślili przedstawiciele przemyskiej Solidarności.

Dodali przy tym, że na terenie powiatu przemyskiego panuje i tak już wysokie bezrobocie sięgające 15,4%, a więc mniej więcej trzy razy wyższe niż średnia krajowa.

Solidarność zaznaczyła, że wobec braku dialogu ze stroną społeczną i braku konkretnego planu naprawczego, „przerzucanie głów-

eprasa.pl 9fefc58b7b

Fot. M. Żegliński

„21 sierpnia rozpoczął się jeden z pierwszych w kraju i pierwszy na Górnym Śląsku strajk solidarnościowy z pracownikami Stoczni Gdańskiej. To „Fazos" dał impuls do buntu innym zakładom na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim".

List Piotra Dudy, szefa „S", do uczestników obchodów 44. rocznicy wybuchu strajku w tarnogórskich zakładach „Fazos", portal Tysol.pl, 21 sierpnia br.

nego ciężaru polepszenia sytuacji spółki na pracowników jest nie do zaakceptowania".

„Niezrozumiałe dla nas są kroki podjęte przez p.o. prezesa spółki Marcina Wojewódkę, które zmierzają do zamknięcia PKP Cargo S.A. Południowy Zakład Spółki obszar stacji Żurawica-Medyka położonego bezpośrednio przy granicy z Ukrainą, gdzie od ponad dwóch lat nieprzerwanie prowadzone są działania wojenne i gdzie pracownicy spółki obsługujący transporty wojskowe udające się na front odgrywają ważną rolę w strategii obronności kraju" – czytamy w petycji.

Region Ziemia Przemyska NSZZ „Solidarność" zażądał wycofania się „ze szkodliwych działań likwidacji miejsc pracy dla zatrudnionych w PKP Cargo S.A. Południowy Zakład Spółki obszar stacji Żurawica-Medyka" oraz wezwał do podjęcia konstruktywnego dialogu z poszanowaniem strony społecznej i wypracowania planu poprawy sytuacji finansowej spółki, zachowując miejsca pracy.

TURNIEJ PIŁKARSKI

W Nowym Sączu na obiektach sportowych KS „Helena" już po raz 38. rozegrany został Międzynarodowy Turniej Piłki Nożnej Oldboys „Solidarność – Stary Sącz 2024". Do zawodów, które odbyły się 10 sierpnia, przystąpiło 205 zawodników z 11 drużyn – dziesięć zespołów z Polski i jeden ze Słowacji. Po rozegraniu 31 meczów wyłoniono zwycięską drużynę.

W tym roku pierwsze miejsce zajęła drużyna Oldboys Limanowa, do której trafił puchar ufundowany przez małopolską „S". Drugie miejsce przypadło Oldboys Planet Car Stadła, a podium dopełniła drużyna Oldboys Starostwo Powiatu Nowosądeckiego. Wręczono również wyróżnienia indywidualne, w tym za najlepszego piłka turnieju, którym został Andrzej Plata z Oldboys Planet Car Stadła.

Zawodników wspierali obecni na turnieju politycy, samorządowcy i związkowcy z Regionu Małopolskiego.

Głównym organizatorem turnieju był Marian Kuczaj. Zawody nie odbyłyby się, gdyby nie pomoc ze strony Klubu Sportowego „Helena" z Nowego Sącza, Kolegium Sędziów MZPN Podokręgu Nowy Sącz czy restauracji „Miś" ze Starego Sącza.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

30.08.1980 – podpisanie Porozumienia Sierpniowego w Szczecinie, sygnowali je: związkowiec Marian Jurczyk i przedstawiciel władz PRL Kazimierz Barcikowski;

31.08.1980 – w Sali BHP Stoczni Gdańskiej zostaje podpisane Porozumienie Sierpniowe, swoje podpisy złożyli: po stronie „S" Lech Wałęsa, z ramienia rządu Mieczysław Jagielski;

31.08.1983 – w wielu miastach trwają starcia milicji z osobami zebranymi dla uczczenia Sierpnia '80, ZOMO strzela do protestujących w Lubinie, Wrocławiu, Gdańsku, są ofiary śmiertelne;

1.09.1988 – po zakończeniu strajków w lecie 1988 r. jako kontynuacja Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego zostaje utworzony Międzyzakładowy Komitet Organizacyjny „S";

2.09.2016 – w wieku 88 lat umiera Aleksandra Olszewska, legendarna gospodyni Placu Solidarności. Przez ponad 30 lat dbała o to, by panowała tam czystość, by pod pomnikiem Poległych Stoczniowców 1970 nigdy nie brakowało kwiatów. Prowadziła też kiosk z pamiątkami solidarnościowymi. Swoją działalnością naraziła się komunistycznemu reżimowi, stając się ofiarą szykan i napadów ze strony jego organów.

eprasa.pl 9fefc58b7b

PRAWO

OBOWIĄZEK ETYKIETOWANIA PRODUKTÓW SPOŻYWCZYCH – co mówi prawo?

Ostatnio kupiłem chiński produkt spożywczy, który **nie miał żadnej etykiety w języku polskim ani angielskim**. Czy faktycznie każdy produkt przeznaczony do sprzedaży musi zawierać wszelkie informacje, nawet jeśli pochodzi z Chin? Jaka jest podstawa prawna?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Etykietowanie produktów spożywczych, niezależnie od ich pochodzenia, podlega surowym regulacjom zarówno w Polsce, jak i w całej Unii Europejskiej. Każdy produkt spożywczy sprzedawany na terenie UE musi spełniać określone wymagania dotyczące etykietowania, które mają na celu zapewnienie konsumentom pełnej informacji na temat kupowanych produktów.

Zgodnie z Rozporządzeniem Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) nr 1169/2011 w sprawie przekazywania konsumentom informacji na temat żywności (FIC – Food Information to Consumers), etykiety produktów spożywczych muszą zawierać wiele niezbędnych informacji. Przede wszystkim nazwa żywności powinna być zrozumiała dla konsumenta. Wykaz składników wykorzystanych do jej produkcji musi obejmować wszystkie użyte w tym procesie i muszą być one wymienione w kolejności malejącej według masy w chwili ich dodania. Istotne jest również wyróżnienie alergenów, na przykład poprzez pogrubienie lub kursywę, aby konsument mógł łatwo je zidentyfikować.

Na etykiecie musi być również podana ilość netto, czyli waga lub objętość produktu. Kolejnymi kluczowymi informacjami są: data minimalnej trwałości lub termin przydatności do spożycia, które określają, jak długo produkt zachowuje swoje właściwości lub do kiedy może być bezpiecznie spożyty. Ważne są też warunki przechowywania i/lub warunki użycia, jeśli są one niezbędne do zapewnienia właściwego przechowywania lub użytkowania produktu.

Niezbędna jest także nazwa lub firma i adres podmiotu wprowadzającego produkt na rynek, którym może być producent, importer lub dystrybutor. Informacja o kraju lub miejscu pochodzenia produktu także jest wymagana, bez niej konsument mógłby być wprowadzony w błąd co do rzeczywistego miejsca wyprodukowania danej rzeczy, więc te dane muszą również znaleźć się na etykiecie. Instrukcja użycia powinna być zamieszczona, jeśli jej brak mógłby utrudniać właściwe użycie produktu. Ostatecznie na etykiecie muszą znaleźć się także informacje o wartości odżywczej, w tym wartość energetyczna oraz ilość tłuszczu, kwasów tłuszczowych nasyconych, węglowodanów, cukrów, białka i soli. Podstawą prawną dla tych wymogów jest przede wszystkim Rozporządzenie (UE) nr 1169/2011, które obowiązuje we wszystkich krajach członkowskich UE, w tym w Polsce. Dodatkowo kwestie te są regulowane przez polską ustawę z dnia 25 sierpnia 2006 r. o bezpieczeństwie żywności i żywienia. W przypadku produktów importowanych np. z Chin obowiązują te same zasady etykietowania. Oznacza to, że zanim produkt trafi na polski rynek, musi być odpowiednio oznakowany zgodnie z wymogami unijnymi. To importer lub dystrybutor jest

eprasa.pl 9fefc58b7b

odpowiedzialny za zapewnienie, że produkt spełnia wszystkie normy etykietowania. Jeżeli natkniemy się na produkt spożywczy, który nie jest odpowiednio oznakowany, możemy zgłosić ten fakt do odpowiednich organów, takich jak inspekcja handlowa czy sanepid. Takie działania pomagają w zapewnieniu, że wszystkie produkty na rynku są bezpieczne i odpowiednio oznakowane, chroniąc tym samym interesy konsumentów. Każdy produkt spożywczy sprzedawany w Polsce, niezależnie od jego pochodzenia, musi być odpowiednio oznakowany, brak etykiety z wymaganymi informacjami stanowi naruszenie prawa.

PROCEDURA ZWOLNIEŃ GRUPOWYCH (cz. 1)

Co do zasady rozwiązanie stosunku pracy przez pracodawcę ze swoim pracownikiem należy kwalifikować jako działanie ze sfery indywidualnego prawa pracy. Jednak gdy liczba takich zwolnień jest odpowiednio duża i następują one w stosunkowo krótkim czasie, ich efekt jest tak znaczny, że ustawodawca zaczyna traktować je jako wydarzenie o charakterze zbiorowym. To z kolei przekłada się na szczególne obowiązki pracodawcy oraz uprawnienia załogi, a zwłaszcza związków zawodowych.

Dr **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

Sytuacja taka jest określana jako zwolnienia grupowe i reguluje ją ustawa z 13.03.2003 r. o szczególnych zasadach rozwiązywania z pracownikami stosunków pracy z przyczyn niedotyczących pracowników. Akt ten reguluje szereg kwestii związanych z tym zdarzeniem – w tym same przesłanki wskazujące, kiedy mamy do czynienia ze stosowaniem tej ustawy – szczególne prawa zwalnianych w tym trybie pracowników – np. prawo do odprawy – czy też zmiany kodeksowych reguł dotyczących szczególnej ochrony trwałości stosunku pracy.

Ważnym elementem jest także sama procedura postępowania w razie zwolnień grupowych, w której szczególną rolę odgrywa przedstawicielstwo załogi.

Pierwszym krokiem jest samo podjęcie przez pracodawcę zamiaru przeprowadzenia zwolnień grupowych. Kiedy taka decyzja zapadnie, musi on skonsultować ją z działającymi u niego zakładowymi organizacjami związkowymi, a celem tego etapu jest możliwość uniknięcia tych zwolnień lub chociaż zmniejszenie ich rozmiarów, a także rozstrzygnięcie spraw pracowniczych, np. rozważanie przekwalifikowania pracowników. By owe konsultacje miały rzeczywisty charakter, pracodawca musi przekazać stronie związkowej wiele informacji, w tym m.in. o przyczynach zamierzonych zwolnień, liczbie zatrudnionych pracowników, grupach zawodowych pracowników objętych zamiarem grupowego zwolnienia, okresie, w ciągu którego nastąpi takie zwolnienie, proponowanych kryteriach doboru pracowników do grupowego zwolnienia czy też kolejności dokonywania zwolnień pracowników. Co ważne, termin przekazania tych danych ma być taki, ażeby konsultacja ze stroną związkową miała rzeczywisty, a nie jedynie formalny charakter.

Warto podkreślić, że obowiązki informacyjne pracodawcy mają nawet szerszy charakter – i to w dwojaki sposób. Po pierwsze, niemalże identyczne informacje musi on jednocześnie przekazać do właściwego powiatowego urzędu pracy (ze względu na brak doregulowania tej kwestii przyjmuje się, że właściwym urzędem jest ten na terenie siedziby pracodawcy). Celem tego działania jest przygotowanie urzędu pracy na potencjalną konieczność objęcia określonymi działaniami większej liczby osób bezrobotnych, które mogą uzyskać ten status w stosunkowo krótkim czasie.

Po drugie, gdy u pracodawcy nie działa żadna organizacja związkowa, wówczas informacje wskazane powyżej musi on przekazać przedstawicielom pracowników wyłonionym w trybie przyjętym u danego pracodawcy. Innymi słowy: w przypadku zwolnień grupowych – nawet w nieuzwiązkowionych zakładach pracy – pracownicy zachowują prawo do pewnego wpływu na dalsze działania pracodawcy (wpływ ten jest jednak zdecydowanie mniejszy niż w przypadku funkcjonowania związków zawodowych).

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 9fefc58b7b

SPORT

Pożegnanie „Franza”

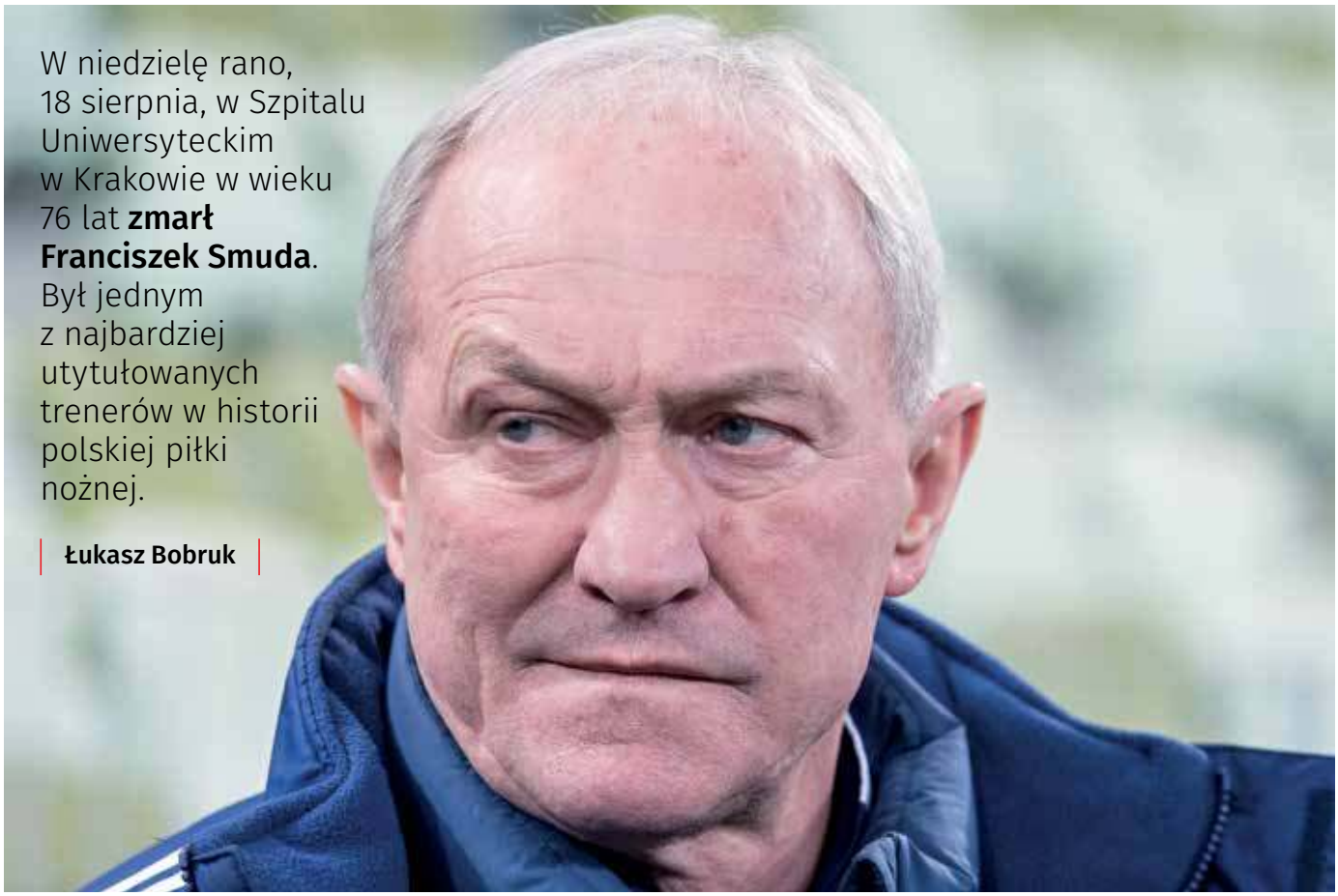

W niedzielę rano, 18 sierpnia, w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie w wieku 76 lat **zmarł Franciszek Smuda**. Był jednym z najbardziej utytułowanych trenerów w historii polskiej piłki nożnej.

Łukasz Bobruk

Fot. Łukasz Dejnarowicz / Forum

Smuda od kilkunastu miesięcy zmagał się z nowotworem krwi. Kilka dni wcześniej trafił do szpitala w ciężkim stanie. Prognozy już wtedy nie były optymistyczne. Niemniej śmierć „Franza” była szokiem dla polskiego środowiska piłkarskiego. Kondolencje płynęły z wielu klubów, w których zmarły pracował, jak choćby z Wisły Kraków, Legii Warszawa, Lecha Poznań, Widzewa Łódź, Górnika Łęczna. Pożegnał go w mediach społecznościowych także Robert Lewandowski, pisząc „Dziękuję za wszystko, Trenerze!”.

Franciszek Smuda – tudzież Franz Smuda – urodził się 22 czerwca 1948 roku w Lubomi. Od dwunastego roku życia w wakacje pracował w miejscowym PGR-ze. Grał w piłkę jako obrońca, ale nie zrobił wybitnej kariery, choć uchodził za charakternego zawodnika. Występował w Odrze Wodzisław, Ruchu Chorzów, Stali Mielec i Piaście Gliwice, aż w 1975 roku postanowił wyjechać za ocean. W Stanach Zjednoczonych łączył występy w polonijnej Vistuli Garfield z czyszczeniem zbiorników po paliwie w rafinerii Exxona. Grał także w Harford Bicentennials, ale jeszcze przed końcem roku znów pojawił się w Polsce. W Legii Warszawa spędził niecałe 3 sezony. W 1978 roku ponownie zawitał do USA. Tam był piłkarzem trzech zespołów z North American Soccer League: Los Angeles Aztecs, Oakland Stompers i San Jose Earthquakes. Występował z George’em Bestem. Poznał osobiście Pelégo. I choć z pewnością „amerykański” okres kariery Smudy był ciekawy, o tyle miał niemiły koniec. Razem z poznanym w Legii Kazimierzem Deyną zostali oszukani przez

eprasa.pl 9fefc58b7b

Teda Miodońskiego, któremu powierzyli zarobione za oceanem pieniądze na różne inwestycje. Niestety nic z tego nie wyszło. „Franz" wspominał, że po stracie około dwustu tysięcy dolarów myślał, by powiesić się w pustym mieszkaniu. Na szczęście tego nie zrobił i w 1980 roku wyjechał do Niemiec Zachodnich. Grał w Greuterze Fuerth i VfR Coburg, gdzie 2 lata później zawiesił korki na kołku.

Tam też rozpoczął przygodę z trenerką, którą zafascynował się jeszcze w USA u Manfreda Schellscheidta, selekcjonera amerykańskiej kadry olimpijskiej. Mimo braku matury udało mu się wyrobić papiery trenerskie w RFN, gdzie pracę w pierwszych czterech drużynach (VfR Coburg, ASV Forth, Eintracht Sud Norymberga, FC Herzogenaurach) łączył z pracą tapeciarza, budowlańca i wykończeniowca (w Polsce ukończył technikum budowlane). W 1989 roku wybrał Turcję jako następny kierunek w karierze, gdzie szkolił Altay Izmir i Konyaspor. Oba zespoły uratował przed spadkiem z ekstraklasy. Tam nie poznał się na talencie Hakana Şüküra, który stał się potem legendą tureckiej piłki. Po czterech latach wylądował już w zjednoczonych Niemczech, gdzie trenował FV Wendelstein. Do Polski wrócił niedługo potem. W 1993 roku przejął Stal Mielec, którą utrzymał na najwyższym szczeblu rozgrywek. Niespełna 2 lata później został trenerem Widzewa Łódź, gdzie osiągał największe trenerskie sukcesy.

W sezonie 1995/1996 wygrał mistrzostwo Polski, nie przegrywając ani jednego meczu, co jeszcze nikomu się nie zdarzyło. Rok później obronił trofeum, m.in. po pamiętnym meczu z Legią w Warszawie, kiedy Widzew przegrywał 0:2, by finalnie zwyciężyć 3:2. Awansował do Ligi Mistrzów po pamiętnym boju z Broendby. W grupie potrafił zremisować 2:2 z późniejszym triumfatorem, czyli Borussią Dortmund, oraz pokonać Steauę Bukareszt. Jawił się wówczas jako trener dość nowoczesny. Naciskał na stosowanie pressingu oraz odważną i ofensywną grę. Piłkarzom Widzewa (poza Tomaszem Łapińskim) zabraniał... wślizgów. Niemniej w Łodzi był bohaterem. Chciano nawet nadać jego imię jednej z ulic miasta. W 1998 roku przejął Wisłę Kraków, z którą rok później wywalczył mistrzostwo Polski. Potem od razu trafił do Legii, ale bez sukcesów. Wrócił zatem do „Białej Gwiazdy" i od razu wygrał z nią Superpuchar Polski. Mistrzostwa jednak nie wywalczył. Potem ponownie zawitał do Widzewa, był w Piotrcovii Piotrków Trybunalski i znów dwukrotnie w Widzewie. W 2004 roku na krótko przejął Omonię Nikozja, lecz po dwóch kolejkach i obrzucaniu kamieniami klubowego autokaru zrezygnował z tej pracy. Potem utrzymał Odrę Wodzisław w ekstraklasie po barażach z... Widzewem. Z Zagłębiem Lubin wywalczył w 2006 roku trzecie miejsce w lidze, a kolejne 3 lata to praca w Lechu Poznań, z którym wyszedł z grupy w Pucharze UEFA i wywalczył Puchar Polski w 2009 roku. Na krótko wrócił do Zagłębia, by następnie otrzymać nominację na selekcjonera reprezentacji Polski.

Smuda miał ją przygotować na rozgrywane na naszych i ukraińskich boiskach Euro 2012. Miał jednak ułatwione zadanie, gdyż do samego turnieju kadra grała wyłącznie towarzysko. Można odnieść wrażenie, że ta rola go najzwyczajniej przerosła. Polska nie wyszła z grupy po remisach 1:1 z Grecją i Rosją oraz porażce 0:1 z Czechami. Tym samym po 34 meczach (15 zwycięstw, 11 remisów i 8 porażek) stracił stanowisko selekcjonera. Rok później został trenerem Jahn Regensburg, którego nie uratował przed spadkiem z 2. Bundesligi. Następnie na krótko przejął Wisłę Kraków, spadł z ligi z Górnikiem Łęczna, awansował do drugiej ligi z Widzewem, znów zajmował się Górnikiem, był koordynatorem młodzieży w Podhalu Nowy Targ, a w sezonie 2021/2022 wprowadził Wieczystą Kraków na czwarty poziom rozgrywek, ponadto wygrał z nią szczebel wojewódzki Pucharu Polski.

FRANCISZEK SMUDA BYŁ CZTEROKROTNIE WYBIERANY NA TRENERA ROKU W POLSCE W LATACH: 1996, 1997, 1999 i 2008.

„Franz" był trenerem dość specyficznym. Choć początkowo wydawał się być nowoczesnym szkoleniowcem, to jednak można było odnieść wrażenie, że świat od początku XXI wieku gdzieś mu odjechał. Bardziej ufał swojemu „nosowi" i intuicji niż nowinkom technicznym („laptop służy mi jako podstawka pod kawę", „Żadnych innych nowych etatów nie będzie. Psychologa też nie, bo nie mamy w drużynie wariatów"). Mawiał, że „Dobrego piłkarza pozna po tym, jak wchodzi po schodach". Z jednej strony wyróżniał się charyzmą wśród zawodników, lecz z drugiej zdarzały mu się różne lapsusy, jako że często mówił mieszanką polsko-niemiecko-śląską („Gramy o spadek", „nie bądź taki Alfa i Romeo", „Rafał Murawski wygląda jak dzwonnik z Rotterdamu", ponadto w 2011 roku powiedział, że zagramy ze... Związkiem Radzieckim). Według mnie – oraz wielu kibiców – reprezentację przejął zbyt późno, a bardziej na to stanowisko pasowałby na przełomie wieków.

Bez wątpienia jednak był postacią niepowtarzalną i nietuzinkową w polskiej piłce. Będzie nam go bardzo brakowało.

Niech spoczywa w pokoju!

eprasa.pl 9fefc58b7b

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Bartosz Boruciak (Nie chcę być..., s. 50),
w „TySolu" od 2018 roku. Trzyma rękę na pulsie nierzadko himerycznej kultury popularnej. Gospodarz rubryki „Mix płyt". Autor naszych cotygodniowych rozmów z artystami.

Marek Jan Chodakiewicz (Świat według..., s. 48),
historyk związany z Institute of World Politics w Waszyngtonie. W USA mieszka od lat 80. Ostatnio opublikował „Światy islamu" (3S Media, 2023). Jego komentarze ukazują się w „Tygodniku Solidarność" od maja 2008 roku.

Karol Gac (Pod kontrolą, s. 43),
felietonista „Tygodnika Solidarność" od roku 2018. Kieruje również portalem DoRzeczy.pl.

Barbara Michałowska, (Kto daje i odbiera..., s. 16),
dziennikarka „Tygodnika Solidarność". Specjalizuje się w sprawach związkowych. Z nami od 2009 roku.

Monika Rutke (Ludzie, którzy..., s. 34),
reporterka „Tygodnika Solidarność" i portalu Tysol.pl. Zawsze na miejscu najważniejszych wydarzeń. Zanim dołączyła do naszego zespołu, pracowała m.in. w radiowej Trójce oraz w Radiu Wnet.

PRENUMERATA

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na cztery sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS" – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;
2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;
3) „RUCH" SA na stronie: prenumerata.ruch.com.pl;
4) Kolporter SA na stronie: kolporter.com.pl.

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- II kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- I półrocze – 195,00 zł (od nr. 1 do 26)
- III kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- II półrocze – 195,00 zł (od nr. 27 do 53)

Roczna prenumerata – 390,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 240 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 9fefc58b7b

Od 12 lipca Republika rozpoczęła nadawanie na ogólnopolskim naziemnym multipleksie MUX-8 na kanale 51.
Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

eprasa.pl 9fefc58b7b

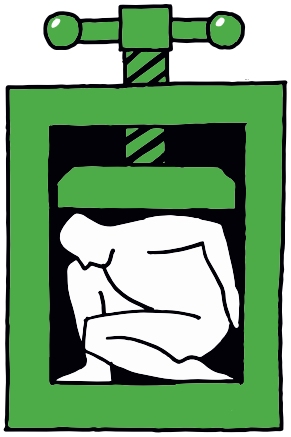

ZATRZYMAJ ZIELONY ŁAD

PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

www.preczzzielonymladem.pl

- Zniszczenie polskiego rolnictwa
- Drogi prąd i ciepło. Zakaz ogrzewania gazem i węglem
- Zakaz aut spalinowych. Gigantyczne opodatkowanie paliw
- Przymusowe dostosowanie budynków do „zeroemisyjności”
- Upadek lub ucieczka przemysłu. Bezrobocie
- Drożyzna w sklepach. Ogromne koszty transportu

PODPISZ WNIOSEK

O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU

NSZZ Solidarność

NSZZ RI Solidarność

eprasa.pl 9fefc58b7b